Nr. 12. Kraków, kwiecień 1909 r. Rok II.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1909 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.** | Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.** | Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Pamięci Juliusza Słowackiego numer ten poświęca „Straż polska“.

W rocznicę Słowackiego...

„A kto nie jest serca bratem,
„Ten nie pozna ze słów duszy...“
Słowacki: Samuel Zborowski.

Jakim On jest, i czem stał się dla Narodu polskiego — mówić nie potrzeba. Czci Go w tym roku cała Polska, wszystkie stany i wszystkie jej warstwy, a to dowodem najlepszym Jego potęgi i Jego wielkości... Bo tylko wielkie dusze, tylko ogromne i czyste serca potrafią owładnąć wszystkimi umysłami, potrafią zapanować nad wszelką waśnią i nieporozumieniem, one jedne zdolne są do wiązania trzech dzielnic, dziesiątek stanów, setek stronnictw w Jedność, a w jedność nierozerwalną, silną, „jedną przejętą myślą“, jednem owładniętą pragnieniem i jedną dążnością...

To mogą uczynić tylko jednostki takie, jak królowie nasi, jak wodzowie nasi, jak Kościuszko Mickiewicz, jak po nim i obok niego Słowacki, i to jest tych dusz największym tryumfem i chwałą.

* * *

I chociaż naród nasz biedny, opuszczony, niedostatku pełen, przecież nie zawahał się dotąd i nie zawaha nigdy nawet przed największemi ofiarami, by takie jednostki uczcić jak najgodniej, jak najwspanialej...

Zawahać się nawet nie może, a nie może dlatego, że składając hołd naczelnikom swoim, składa go równocześnie własnej sile i duchowej mocy, boć ci, Wielcy, przecież z łona tego właśnie narodu wyrośli, wykwitli...

I chociaż naród nasz rozbity i po całym niemal rozproszony świecie, przecież cały, bez zastrzeżeń cały, w hołdach takich łączy się, spiesząc ochotnie i tłumnie do stóp tych największych...

Wie bowiem dobrze, co przez to czyni, co zyskuje.

Przez to stwierdza swe istnienie żywotne, przez to świadczy widomie i czynnie, że żyje, a żyje „cały i jeden“, mimo dokonanej na nim zbrodni rozbioru, mimo bolesnego ucisku, mimo tysiąckrotnych wysiłków, by był zdeptany, zmiażdżony, w mogiłę powalony...

Przez to przypomina się światu, udowadniając z dumą, że jest poza potęgą polityczną moc druga, która zginąć nie pozwala, która naród czyni nie mniej silnym i wielkim, a jest nią — potęga i moc Ducha!

* * *

Zyskuje też naród nasz w takich wypadkach nie mało.

Zrozumiałą bowiem jest rzeczą, iż wśród przebolesnych i mozolnych walk z rozlicznym wrogiem musi przyjść często omdlenie, znużenie, upadek sił, a nawet czasem zwątpienie i rozpacz...

W takich razach pokrzepieniem i źródłem odżywczem stają się dla znękanego narodu właśnie takie chwile, takie uroczystości.

Albowiem pośród tych hołdów, składanych Wybrańcom narodu, musi przyjść rozpamiętywanie Ich czynów, zasług i znaczenia. Musi przyjść zapytanie, dlaczego oni tak wielcy? — i musi przyjść odpowiedź, że wielkimi stali się dlatego, że nam do życia wskazali drogę, że nam podali do walki broń, że nam zostawili szereg przykazań, jako ratunek w nieszczęściu i że stali się dla nas wytyczną, drogowskazem..

Dzięki zaś temu drogowskazowi, dzięki tym przykazaniom nie utonęliśmy i nie zginęli dotąd. Nie zginiemy też i w przyszłości, jeśli się ich wiernie trzymać będziemy.

A będziemy mogli według nich postępować tylko wtedy, jeśli je znać i o nich pamiętać będziemy.

* * *

Jest cechą dusz wielkich, wzniosłych, że cnoty i zalety człowiecze istnieją w nich w większej ilości, w wyższej mierze. Nie wszystkie one jednakowo mocarne i silnie rozwinięte. Owszem, prawie zawsze zdarza się, że jedna z pośród tych cnót i zalet błyszczy szczególniejszym blaskiem, inne natomiast są rozmieszczone koło niej, jako gwiazdy świetne koło słońca brylantowego...

Podobnie ma się rzecz ze Słowackim.

Na jego wielkość i moc złożyły się różne pierwiastki, różne składniki, najrozmaitsze cnoty i zalety ..

Najświetniejszą atoli pośród nich to — Miłość!

Miłość a raczej umiłowanie wszystkiego, co Poeta ten koło siebie widział, z czemkolwiek się tylko zetknął...

* * *

Podkreślam te słowa: „umiłowanie wszystkiego“ — bo dziwnym zbiegiem okoliczności stało się, iż się najmniej mówi o Słowackiego miłości i kochaniu...

A jednak on miłował i kochał, a kochał gorąco wszystko, co drogie, wielkie i święte...

Bez tego nie byłby nawet tem, czem jest? Nie byłby wieszczem Narodu, nie byłby jego Królem-Duchem...

* * *

W tem tylko prawda, że nie kochał ludzi głupich i złych, że gardził marnością i ciasnotą, że wstręt czuł do szaraczków, a szaraczków umysłu i serca...

Kochał zaś tylko wzniosłość i prawość, potęgę ducha, czystość serca...

* * *

Miłość Słowackiego objęła w pierwszym rzędzie ojczyznę naszą, całą, wielką, z jej przeszłością i przyszłością.

Nikt drugi z naszych poetów nie zajmował się tak jej upadkiem, nikt drugi nie szukał w niej tyle piękna, nikt jej tak skwapliwie z grzechów nie usprawiedliwiał, nie tłumaczył — jak Słowacki...

Czasy przedrozbiorowe są dla nas najboleśniejsze z powodu zupełnego rozprzężenia się sił narodowych, upadku moralności i zaniku prawych uczuć politycznych, społecznych i czysto obywatelskich...

A jednak Słowacki rehabilitował te czasy, wyszukując z nich chwile istotnie wzniosłe i piękne, tem piękniejsze, że on je ozdobił czarem poezyi swojej...

* * *

Kochał jednak na swój sposób.

Są ojcowie, którzy za dzieckiem rodzonem w ogień skoczą, życie swe za nie dadzą, ale go nie popieszczą, nie pogłaszczą... A jednak kochają je namiętnie.

Słowacki podobnie kochał ojczyznę.

W chwilach bólu i rozpaczy gryzł ją, ale „gryzł sercem“, wyrzucał jej pychę, marnotrawstwo sił, obłudę, apatyę, zgangrenowanie, ale oskarżając ją o to wszystko, sam przytem płakał i cierpiał...

Co więcej! On tę ojczyznę umiłował nawet z jej błędami i winami.

Że je atoli zmniejszyć i wytłumaczyć pragnął, snuł dziwną opowieść o „Królu-Duchu“ narodu naszego, który nawet zbrodnią i zniszczeniem ten naród dźwiga w górę, prowadzi go do szczytu wzniosłości i ideału

Myśl jego była tylko w ojczyźnie i w losach tej ojczyzny...

* * *

Kochał wielkość, czystość i wzniosłość...

Dowodów nie potrzeba na to...

Wszystkie bohaterki i bohaterowie utworów Słowackiego, jeśli są umiłowane przez niego, jeśli są drogie nam, są czyste i wielkie... Czy to będzie dziewczę drobne, córka ubogiej matki-wdowy, czy to będzie pani i władczyni, jak Wanda Królowa, czy to będzie młody bohater za ojczyznę się poświęcający, czy rycerz srebrnopióry, lub w czarną zbroję zakuty — wszystkie te postacie, tak wypieszczone przez Słowackiego, błyszczą jak meteory czystością uczuć, prawością charakteru, świętością zapału...

Takie bowiem istoty kochał wyłącznie Słowacki, o takich marzył, takie chciał mieć i widzieć.

Dlatego też, jeśli przedstawiał postać powyższym przeciwną, brudną, zbrodniczą i podłą, nie wahał się użyć najczarniejszych barw, by ją w jak najohydniejszem przedstawić świetle...

Czuł bowiem do niej zapamiętałą nienawiść i pragnął, by dusza czytelnika również ze wstrętem na takie jednostki patrzyła.

* * *

Miłował duszą całą potęgę ducha — geniusz!

Nie wiele jednostek, a jednostek w sobie samych tak potężnych, jak Słowacki, wykazać można, któreby korzyły się przed majestatem i wielkością drugich tak, jak właśnie — On!

Słowacki „nie deptał wszystkich mędrców i proroków“, nie gardził równymi i wyższymi od siebie... Nie! On korzył się przed nimi, pochylał do ich stóp, jak dziecko do kolan ojca...

Homer, Dante, Tasso, Calderon, Szekspir, Bajron, nasz Kochanowski, nawet przeciwnik Jego osobisty, nasz Mickiewicz, poza nimi zaś poetami — szereg ludzi innych, nie poetów — oto nazwiska, przy których czuł się małym, dla których żywił hołd, cześć i uwielbienie... Nie zazdrościł im, nie poniżał — kochał tylko i nimi żył!!

Podobnym był w życiu codziennem... Od ludzi, od gwaru, od tłumu pośledniego uciekał, ale listy jego świadczą, jak serdecznie mówił i pisał o jednostkach wybitnych czy umysłem, czy sercem...

* * *

Powiada jeden z krytyków, że „serca ludzi były dlań obojętne, bo nie umiał trafiać do nich, bo ich nie rozumiał, bo im współczuć nie umiał...“

Jak nieprawdziwe i złe te słowa!

A jednak wypowiedziano je.

Dlaczego?

Dlatego, że większość nie umie do Słowackiego zbliżać się tak, jak on zbliża się do nich

On powiada wyraźnie: „A kto nie jest serca bratem, ten nie pozna ze słów duszy...“

A kto dzisiaj jest „serca bratem“? Kto zadaje sobie ten mozolny co prawda trud, by wglądnąć w głąb duszy drugiego?... Prawie nikt!

Słowacki to czynił — stąd wielkim, stąd umiał i mógł kochać!

My tego nie czynimy, dlatego tyle zawiści i nienawiści jest pośród nas!

* * *

Nie nauczy nas Słowacki przy rozważaniu jego dzieł i życia pisać wierszy cudnych — boć z tym darem na świat przyjść trzeba!

Nie nauczy pod niebo wzbijać się, bo na to orłem urodzić się trzeba...

Nie nauczy budowania rubinowych pałaców, bo na to architektem, mistrzem stać się potrzeba...

Ale nauczyć nas może miłości, bo ta nie jest poetów, tylko ludzi własnością...

Nauczyć nas może umiejętności odczuwania serc ludzkich, poznawania się wzajemnego i wzajemnego przebaczania sobie.

Tego nauczyć nas może, bo to jedno dostępne dla wszystkich...

* * *

A komuż więcej potrzeba tej wzajemnej miłości, niż właśnie nam?

Czem się ostoimy zwartej przemocy, jeśli nie zwartemi ramiony?

A jakżeż potrafimy te ramiona razem zewrzeć, jakżeż zdołamy złączyć dłoń z dłonią, jeśli dłonie te, w pięście zaciśnięte, przeciwko sobie zwrócone będą?

Aktem miłości naszej dla Słowackiego ma być nadchodzący obchód jubileuszowy, ma być pogrzeb prochów jego na ziemi naszej?!

Tak ma być! Ale jakżeż nim będzie, jeśli my sami ku sobie miłości żywić nie będziemy? Jakżeż będziemy o nim w mowach i przemowach mówić, że „On nasz“, kiedy w takim wypadku On dla nas całkiem obcym się stanie??

Bliscyśmy kłamstwa, obłudy i parodyi!...

Niechże od tego uchroni nas sam poeta, uchronią dzieła jego, ich czytanie i zrozumienie!!

Może przez to bodaj iskra miłości wpadnie z jego serca do naszego, może ona pustkę tych serc naszych wypełni szczelnie, nauczy kochać i być bratem — bratnich serc!

A. E. Balicki.

Juliuszowi Słowackiemu.

I oddała cię ziemi — popiołem
  Garstka druhów w ów dzień przed pół wiekiem,
Byś sam leżał ze sławy aniołem,
  Sam, daleki, w tem mieście dalekiem.
Lecz choć proch twój pozostał tam dumny,
Anioł sławy twej dawno wstał z trumny.

Jak ogromne z za morza okręty,
  Do tych „chleba zjadaczy“ powrócił;
Jak duch mocny, na skrzydłach rozpięty,
  Objął dusze — bo pieśń twoją nucił,
I z twej pieśni miał wieniec u głowy,
Tak ognisty, złocisty, tęczowy...

* * *

Jeśli miłość gdzieś wzbiera i płynie,
  Jak kaskada szumiąca i czysta,
Jeśli gdzieś w przypomnienia godzinie
  Do kochanki zatęskni lutnista,
Twoich westchnień brzmi szept pełen czaru
Z ponad wody błękitnej Aaru.

Jeśli z bólu gdzieś serce zawyje
  Pod strasznemi Allacha ciosami,
I zbieleją nagle włosy czyje,
  Jako ojca nad dzieci trupami —
Jeśli wstyd wnętrznościami zatarga,
To twój jęk i szyderstwo i skarga.

* * *

Płyną fale, hej! płyną do morza,
  Jasne Gopła zwierciadło się mieni,
Czy z mgły nocnej wyłania się zorza,
  Czy dzień kona w zachodu czerwieni —
Wszędy sieją harfy twojej struny
Srebrne sny i ciskają pioruny.

Niema głazu i niema kamienia,
  Gdziebyś pieśnią, jak w pierś, nie uderzył;
Ani głębi takiej, ani cienia,
  Których tęczą swych dum byś nie zmierzył.
Kędy spojrzeć — rosą brylantową
Myśl twa błyska i lśni twoje słowo.

* * *

I oddała cię ziemi — popiołem
  Garstka druhów w ów dzień przed pół wiekiem,
Byś sam leżał ze sławy aniołem,
  Sam, daleki, w tem mieście dalekiem...

Ignacy Baliński.

Ze studyów nad Słowackim.

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg,
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg...
Ale nie świat realnych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — sen.
Słowacki: *Samuel Zborowski*
Akt II, scena 2.

W tych słowach śpiewu duchów, zwróconego do Eoljona, mieści się jakby synteza człowieka, synteza poezyi. Mieści się synteza człowieka, który rozumiał siebie często lepiej od swych krytyków; mieści się synteza poezyi, która w literaturze nie ma podobnej sobie. Człowiek zjawił się w latach najwyższego natężenia romantyzmu u nas; poezja była tego romantyzmu najwyższem napięciem. A to natężenie, to największy krańcowy indywidualizm w treści i w formie, rozmaity i nigdy nie powtarzający się w wątku i w wyrazie, zrazu przerażający wybuchami pesymizmu, potem roztopiony w mistycznych zachwytach bez miary i granic. A to napięcie, to poetyzowanie najskrytszych uczuć wewnętrznych, którego piękność raczej odczuć, niż opisać podobna.

I dlatego historyk, mający przedstawić dzieje tego człowieka, który stworzył poezyę najbardziej indywidualną u nas, musi mieć koniecznie rozwagę psychologa, aby wejrzeć w jego głębie i rozświecić je do dna, rozwagę nawet teratologa, który bada zboczenia od stanu normalnego, tak widoczne w nim niejednokrotnie. Musi wyróżnić w nim to, co było w nim odrębne, wykazać to, co wspólne, aby zmartwychwstał przed nami w całej rozległej skali odcieni i zmian, uzmysłowionych przez to, co wychodziło z pod jego genjalnego pióra. Musi wyszukać przyczyny, które opóźniły chwilę zgodnego uznania jego wielkości. A nadewszystko musi pokazać narodziny jego duchowe, wysamodzielnianie się, wzmaganie się stopniowe, dochodzenie do największej doskonałości. Musi wyróżnić w tej doskonałości, co w niej było nowe i bezprzykładne, co stanowiło jej pierwiastki i potęgę.

Słowacki był romantykiem, którego rozumiano najmniej, choć romantykami byli Mickiewicz i Krasiński. Znaczy to, że oddalił się najwięcej od społeczeństwa swym stanem psychicznym i treścią dzieła. Znaczy to, że wyzwolił się na swobodę najwięcej dziką, że rachował się tylko z sobą, że był najwięcej buntowniczy w tem, co myślał, czuł, pisał. A przecież nie czerpał tylko z siebie, właśnie w dążeniu do wyzwolenia się ze wszelkich więzów nie był tylko sobą. Nim zaczął tworzyć, musiał żyć, człowiek wyprzedzał twórcę. Był z rodziny, którą poznaje się po cechach dziedzicznych, był ze sfery, która mu dała pragnienia, będące dla niego odtąd życiem całem. Te pragnienia uprawiał najuporczywiej, trudnością ich ziszczenia gryzł się do utraty równowagi. Cała jego istota duchowa została pochłonięta temi pragnieniami, które niespełnione przynosiły smutek raz miękki i nieuchwytny, raz gwałtowny i namiętny, raz zgryźliwy i sarkastyczny.

I dlatego jego poezja, nim zmieni się pod wpływem wewnętrznej transfiguracyi, jest wielką elegią smutku, który zdaje się przechodzić w stan chroniczny, jest niby nieuleczalnym, stanowi jakby religię smutku. Poezya jest odbiciem pragnień, które zrodziły smutek tak niezwykły, że obrócił się w nienawiść wszystkiego, co nie odpowiadało ideałowi wewnętrznemu. Walka z samym sobą, szarpanie się z otoczeniem, rozczarowanie rzeczywistością — to kierujący całem tworzeniem motyw. Jeżeli znajdzie się lekarstwo na chorobę, bywa ono przemijające, lata młodości upływają tedy w nieustannym rozstroju, który rzuca mocny cień na poezyę. Następuje przesilenie, które wyprzedza objawy najgroźniejsze, gdy u innych, jak: Rousseau lub Senancour, Byron lub Shelley, de Vigny, Leopardi, Espronceda, było jeszcze gorzej. Uczuciowość Słowackiego podlega zboczeniom dziedzicznym, które potęguje wpływ literatury, uczuciowość pieści chimery, które stanowią jego świat snów. Przy tak przeczulonym nastroju, pierwsze zetknięcie się z życiem wytwarza nihilizm, wzrastający nadzwyczajnie, pierwsze zetknięcie się wykuwa system, osamotniający niejako twórcę. Ten system mógł wytworzyć się na tle zwątpienia, które pozostało po wieku osiemnastym, na tle sprzeczności, które wywołały ścierające się kierunki myślowe i literackie. Słowacki wytworzył sobie tę szczególną uczuciowość, którą widać wtedy wszędzie, która zmieniła się w szczerość. Wzięło w nim górę pragnienie narkotyzowania się życiem sztucznem, marzeniem w samotności, wyolbrzymianiem tego, co było słabością albo szlachetnością duszy czułej i pełnej melancholii.

Ów wiek widział inteligencyę na usługach uczucia, uczucie na usługach wyobraźni. Ciekawy to fakt, który utrudnia przecież badanie duszy czasu i duszy jednostek. Psycholog doświadczalny czy racyonalny ma z nim dużo kłopotu i błądzi często, jak zwiedziony mgłą turysta po zboczach górskich. Obserwacye i rozumowania muszą postępować tu z całą ostrożnością, bo romantycy są przeważnie wypadkami wyjątkowymi, rzadkimi, osobliwymi w swem społeczeństwie. I wprawdzie musimy studyować nie oznaki stanów duszy romantycznej, ale oznaki oznak, to przecież spostrzeżenia mogą być trafne, gdy nie będziemy lekceważyli najbłahszego faktu, tyczącego się psychologii czasu. Czuciowość, inteligencya, wola tej epoki przedstawia tyle niespodzianek i tajemnic, artyzm tyle odcieni i wyrazów, że nasz umysł musi dokonywać nierzadko dużych wysiłków, kontrolować swe spostrzeżenia, utożsamiać się ze świadomością czasu, aby dojść do sądów, stanowiących syntezę naszych wyobrażeń, do wniosków będących wynikiem sądów. A Słowacki jest może najzawikłańszą i najwięcej sprzecznych mniemań wywołującą indywidualnością, choć wyobraźnię dzielił z Mickiewiczem i Krasińskim, którzy umieli ją utrzymać w równowadze i spokoju. Wrażliwy nadmiernie, co było jego wadą, ale i giętki niepospolicie i subtelny więcej od tamtych, począł tworzyć na podstawie czystej wyobraźni romantycznej, wznosił się do wyżyn sztuki tak pojętej, aby nie zatrzymać się nigdy na skale całego lub półrealizmu, który tak cenimy zwłaszcza u Mickiewicza.

Jego uczuciowość stanowiły: żądza niezależności za wszelką cenę, duma niepohamowana i naiwna, drażliwość pełna drżeń i obaw bez przyczyny, która spotykała się z obojętnością, a nawet złośliwością ukrywaną lub otwartą. Wtedy dusza poety przepełniała się goryczą, stroniła od czynu, życia, siebie samej niejako. Wtedy dusza poety szukała rozkoszy w sztuce, we wrażeniach przyrody, w marzeniach o dziełach czytanych, któremi upajała się, których czary nauczyła się cenić pierwej, nim zaczęła żyć naprawdę. Podrażniona w dumie, wybuchała buntem przeciw wszystkiemu, przeciw bytowi nawet, marzyła o śmierci, gdy nie skosztowała rozkoszy bytu. Sarkazm stał się jej formą, ironia narzędziem, niepokój i nuda gestem najczęstszym. Oglądała odtąd swe chimery, złudzenia, marzenia, których upadek uważała za nieszczęście.

Poetyzowała je długo, gdyż w grę weszła tu wyobraźnia najświetniejsza z polskich, żyła i działała niejako wyobraźnią, która dawała przejściom marzonym akcenty bólu i zniechęcenia jaskrawego. Była w tej twórczości młodość niczem niezmożona, była genialność marzenia, którego nie rozumiała emigracya. I poezya była odbiciem orgii wyobraźni, była tem, co stanowi istotę poety. Była niekiedy egzotyczna, jak romantyzm wogóle, była życiem, które nie miało korzeni w rzeczywistości, które na przekór rzeczywistości umiało wystąpić z pozorami prawdy, rysowało się w pamięci w sposób nieoczekiwany. Jego sztuka była z niego, on ją modelował wedle siebie tak, że ona żyje nim, że czuć w niej bicie jego serca, objawy jego woli.

Była w niej górność wzlotów jego pokolenia w wyborze przedmiotu, była miłość nieugięta piękna, była prawda jego pokolenia, była pomysłowość największa u nas. Była w niej tedy wielkość, której warunki określił Ruskin, była w niej metafizyka, objawiona obrazami, które działały na serce, myśl, wolę. Był jej twórca w rzędzie tych, o których wyrzekł Brunetière, że tworzą te metafizykę czyli sztukę przeciwną rzeczywistości ogólnej, ale nie przejściowej. Podmiotowy, jak nikt u nas, młody do śmierci, zmęczony gonitwą za ideałem, cierpiący często bardzo i noszący dumnie swe cierpienia, był Słowacki naturą zbliżoną do Rousseau'a, ale długo bez jego utopijnego programu, do Byrona, którego nie miał rozpętanej zmysłowości, do Chateaubrianda i do Vigny'ego, których podzielał dumę, odosobnienie, niepokój, gorycz, pesymizm. Ró-

wnowagi, trzeźwości, panowania nad sobą nie miał naprawdę wtedy nikt, kto przejął się nimi, kto pod ich działaniem rozwijał w sobie marzycielskość, oderwał od otoczenia, rozwinął w sobie życie wewnętrzne, oparte na uczuciu, prawie wyłącznie. Słowacki był zależny od otoczenia, wyszedł z romantyzmu, którego idee, uczucia, dążenia przejął natwnie, nim wyswobodził się nieco od wpływów, nim zindywidualizował to, co przejął, nim poszedł własną drogą. Był typem człowieka ówczesnego, który został niewolnikiem uczucia, nim obudził w sobie męskość, podkopywaną ciągłą analizą, nim zapragnął czynu i oswobodził się od miękkości prawie kobiecej, cechującej go wraz z tymi, za którymi szedł.

Podkreślono już znaczenie sentymentalnej lektury poety w rozwoju jego charakteru, zauważono, że postacie kobiece, mniej udatne u Mickiewicza, stworzył dopiero w poezyi naszej niezrównany psycholog i malarz kobiety, Słowacki. Ten feminizm odbił się i w postaciach męskich, rozlał się wszędzie, górował jako przeczenie woli, jako przewaga uczucia, jako miękkość i naddrażliwość temperamentu, który umiał się jednak odnawiać cudownie. Podmiotowość poety, która wyrażała się nieskończonymi odcieniami uczuciowości, nie umiała przecież oddać miłości istotnej. Dawała jej ramy, choć nie dawała treści, dawała marzenie o miłości, ale nie miłość samą. Była jego miłość szeregiem zachwytów, wspomnień, opisów, ale nie żądzą męską, która pochłania całą istotę, pragnieniem bijącem poruszeniami natury silnej i zdrowej, namiętnością ludzką i naturalną, W jej odtworzeniu było marzenie raczej, które feminizmu tej natury dowodziło niejednokrotnie. Był tu idealizm, nie doktrynerski, który kryje treść inną i zwyczajną, ale ruch instynktowy, który odsuwał wszelką ziemskość. Słowacki nie oczyszczał miłości, ale czuł czysto. Idealista rzucał na wszystko, co stworzył, powłokę nadzwyczajności, wyanielał każdy erotyczny moment sztuki. Jego miłość bywa kultem, jak u romantyków wogóle, bywa ideologią, która uduchowia rzeczy przyrodzone, ale nie daje tego, co cechuje gorący temperament Byrona.

Czy bajronizm, o który sam poeta oskarżał się później, był istotnie tą zasadniczą warstwą, na której ułożyły się inne wpływy? Chyba nie. Był to wpływ literacki raczej, który z istotną treścią tej natury nie miał na razie wiele wspólnego w latach, gdy ona urabiała się niejako, wydobywała się z osłonek nieświadomości, stawała sobą naprawdę. Uczuciowość stanowi już człowieka, gdy inteligencyę przejmuje dopiero oddziaływanie zewnętrzne. Tę uczuciowość stanowiły duma, niepokój, wzgarda rzeczywistości, ukochanie rojeń, których nie mogło pokonać nic, aż lutnia szalonego barda nie znalazła echa, aż okoliczności zewnętrzne złożyły się na zmianę znaczącą. Z poezyi nie trudno odtworzyć go w pełni, nie trudno wskrzesić duszę artysty, który miał najwyższą u nas miłość piękna, a lubił przedstawiać:

> takie dusze dzikie, smętne,
> Rozokolone na niebie szeroko,
> Błyskawicowe trochę, trochę mętne
> Nawet, gdy w ciało się straszne obloką ..*)

Gdy był uleczony, ironizował ten stan, któremu podległ pod wpływem czynników dziedzicznych, pod wpływem całej atmosfery lat młodych. Rousseau i jego szkoła wpajali w ówczesne pokolenie przekonanie, że społeczeństwo żyje sztucznie, poza prawdą, poza cnotą. Odnowić je w duchu prawdy i cnoty, to idea najwięcej suggestywna, ją zaś niesie nie chłodne rozumowanie, ale wicher gorących uczuć indywidualnych. Tę prawdę, tę cnotę pojmowało się po swojemu, stosownie do stanów duszy, stosownie do marzeń wewnętrznych. Że otoczenie nie odpowiadało im, rzucono się w ramiona natury, która miała urzeczywistniać marzenie. Wynika stąd fałszywość położenia, która zmuszała do analizy siebie, do wyrafinowania tej analizy, do uczynienia z życia poematu.

A jednak i w tej transpozycyi życia w poemat była szczerość. Poemat pisał sam bohater, który dawał siebie w zestawieniu ze światem.

Zimnej krwi, trzeźwości, posiadania siebie nie miał nikt, kto przejął się podobną literaturą. Marzycielskość, chęć odosobnienia, nerwowość, pesymizm, rosły odtąd wprost żywiołowo. Jednakże ten sam Rousseau wszczepił pokoleniu romantycznemu nietylko kult samego siebie, ale i potrzebę doskonalenia się, poczucie obowiązku, ideał moralny, lekceważenie rozumu, a oparcie wszystkiego na uczuciu, zamiłowanie ciepłych barw stylu.

Porywy serca miały być argumentami, które zwalczały sceptycyzm wieku poprzedniego, które utworzyły literaturę niepokojów metafizycznych, literaturę poczucia niepowetowanej nicości wszystkiego. Otwierały się perspektywy dalekie i niezmierne, poczynała się reakcya spirytualistyczna, skłaniająca się chętnie do mistycyzmu. Dążono do jakiejś poprawy religii, którą chciano mieć bardziej filozoficzną, oświeconą, nieokreśloną. Było to niejako stosowanie religii do idei czasu, która, śladem Swedenborga, wiedzie na drogi wewnętrznego doświadczenia, jeżeli nie zatrzyma się po drodze. Dusza poety pod tymi wpływami zbierała wrażenia najróżnorodniejsze, uczuwała chęć wytworzenia własnej wizyi wszystkiego, choć gwałtowność uderzających na siebie prądów, którymi były sceptycyzm filozoficzny wieku osiemnastego i idealizm mistyczny wieku dziewiętnastego, nie dozwoliły długo wypowiedzieć się ostatecznie. Spokój i równowaga musiały zachwiać się w podobnem starciu dawnego i nowego światopoglądu, musiały uledz wahaniom, których widownią był ówczesny świat w każdej dziedzinie życia.

A jednak poeta tęsknił za owym krajem młodości, kiedy podobały mu się jedynie indywidua, złożone z uczucia, wyobraźni, entuzyazmu, melancholii. Natchnienie ówczesnej literatury było gorączkowe, temperament osobisty rozstrzygał o wszystkiem. Tak było u Rousseau, tak u pani de Stael, tak u Chateaubrianda, którzy wyhodowali pokolenie romantyczne na marzycieli, ideologów, wizyonerów, przynoszących z sobą swą filozofię, otaczających się snem o treści najfantastyczniejszej. Uskrzydlali je niejako w lot nad bagnami bytu, rozniecali pesymizm mniej lub więcej krańcowy.

Byron rozniecił w tem pokoleniu tylko erotyzm, rozpalił w niem niechęć do panującego rzeczy porządku, dał mu pewność, sarkazm, bezwzględność w pogardzie dla życia, w lekceważeniu otoczenia. A także i on rozpalił w niem zamiłowanie przyrody, które, bardziej spokojne i sielskie u tamtych, zamienia się odtąd w entuzyazm dla stepów bez końca, dla szczytów podniebnych, dla morza bezgranicznie wielkiego pod niezmierzonością nieba.

Poeta stał się nietylko tłumaczem własnego przeznaczenia; on musiał walczyć także z tem, co jest największe pod niebem, dojść do granic bytu, stać się bardem stworzenia.

Miał być tytanem, wdzierającym się na wyżyny, skąd miał rozebrzmieć jego głos tem więcej po manfredowemu, im większy był rozłam między nim a światem. Że miłość mogła tu być i była przyczyną całego rozdarcia, nic dziwnego, skoro tak było w całej literaturze rousseau'istów. Im sroższy był zawód, za którego powód uważało się zwykle warunki społeczne, przeciwne prawdzie i cnocie, tem silniejszy zwrot do natury, do swobody, do walki ze wszystkiem, co otaczało. Własna jaźń stawała tu przeciw wszystkiemu, własna jaźń nie ścieśniona niczem, nie ukrócona żadnym obowiązkiem, który polecał przecież Rousseau, targająca wszystkie więzy, które tworzą fałsz życia. Jeżeli usiłowania zawiodły, życie stawało się nikczemnem i zatrutem, życie odrywało się od całości, aby zlać się z przyrodą, która stawała się jedynem towarzystwem. Rozłam między jaźnią indywidualną a życiem i otoczeniem rousseau'istów zamienił się w nihilizm bajroński, który stroni od społeczeństwa, który szuka rozkoszy w roztopieniu się w przyrodzie otaczającej, czasem w niszczeniu wszystkiego lub w napoju upajającym, jak Arab lub Lambro. W ten sposób unicestwiało się własne cierpienie, w ten sposób łagodziło się ból, pozostały po tytanicznej walce z rzeczywistością życia.

Nigdy tak daleko nie zaszedł indywidualizm w poezyi, nigdy tak otwarcie nie wypowiedział się też człowiek, co najmniej od czasów starożytnych, gdyż nie znał już granic, siebie uważał za miarę wszystkiego. Czy miało tu jakie znaczenie położenie narodu, wyrozumienie teraźniejszości? Niewątpliwie, choć wyraźniej zaznaczyło się to dopiero później. Nie potrzeba wczytywać się w poezyę, gdzie ogląda się poetę w pewnej roli. Dowodzą tego zwierzenia poufne, które mają akcent naiwności wielkiej. One, a mówimy tu o tyloletniej korespondencyi z matką, wskazują, że melancholia, rozwinięta lekturą, była chorobą, nad którą ubolewał potem poeta. Mówił o niej z uśmiechem smutnym w chwili, gdy był zupełnie wyleczony, gdy marzył o czynie i snuł program równie utopijny, jak Rousseau. Ale że rozumiał siebie lepiej od krytyków, więc w latach dojrzalszych żałował gorzko młodości, którą uważał za chybioną, więc w latach dojrzalszych, gdy chciał hetmanić duchem narodowi, przyznał, że niegdyś uległ chorobie, z której uleczyły go dopiero okoliczności nadzwyczajne, że nie szedł drogą ogółu, ale własną, gdy mówił, że

> Jestem dzisiaj — niech cię porwie trzysta!
> Nie Polak — ale istny Bajronista *).

Słowacki był wprawdzie najwięcej krańcowym indywidualistą, umiał jednak sądzić siebie lepiej, niż Chateaubriand, tak trzeźwo, jak Rousseau.

I tak otwarcie zarazem. Nie można bowiem zaprzeczyć, że w tej otwartości, dalekiej od zbytniej zwięzłości i litewskiego milczenia Mickiewicza, lub bujnej frazeologii Krasińskiego, był urok niepospolity.

Widzi się jego słabości i przebacza mu się je łatwo, gdyż on wyznaje je szczerze, gdyż spowiada się z nich z rzadką otwartością i prostotą. Wtedy zapomina się o jego drażliwości i kaprysach, o sprzecznościach i przeciwieństwach nastrojów, o zbytniem zamykaniu się w sobie, gdyż jest to wada ogólna wtedy i nie wyłącza genialności natchnienia.

Jego niesłychana wrażliwość odczuwa to, co innych nie potrąca ani na chwilę, zatruwa się jadem podejrzeń, kłuje o ostre kolce rzeczywistości, nie zdolna pogodzić się z tem, co życie daje i niesie. Łatwość zrażania się do ludzi była u niego szczególna; z niej płynął nie wysychający nigdy smutek, wrodzony po części, rozwinięty sentymentalną lekturą, wzrosły do niebywałych rozmiarów i przedzierzgający się w istotną religię smutku.

Oprócz smutku, który stanowił w Słowackim rys pokrewny z Chateaubriandem, była w nim duma, rodząca rozczarowanie, rozdrażnienie nieuzasadnione często. Wyobraźnia, zawsze czynna, widziała wszystko inaczej; wyobraźnia była przyczyną, że począł lekceważyć ludzi i świat, który nie harmonizował z jego treścią. Z tego rodził się smutek jeszcze surowszy, ponury i wyróżniający go od innych. I człowiek wchodził w sferę poza rzeczywistością, z którą wiązały Mickiewicza ideały filareckie, żył poezyą, która była jego właściwem życiem i zachowała jego rysy mało zmienione. Jej bohaterem był człowiek, ogarnięty smutkiem niezmiernym, dumny bez granic, zamknięty w sobie i gardzący otoczeniem, szukający samotności i złagodzenia melancholii w obcowaniu z przyrodą, jak chauteaubriandowy René. I całe życie będzie on wywoływał tę młodość, całe życie będzie żył nią w godzinie myśli nad sobą, która była najczęstsza.

I raz jeszcze powtórzyć trzeba, że przebaczyć mu to łatwo, bo szczerość wyznania nie ulega żadnej wątpliwości. On tą młodością odnawiał się w sobie, jej wspomnieniami zabarwiał najżywiej swą poezyę, która udrapowała tę młodość w bajeczne kolory. Myślał, żył, działał wyobraźnią, która odziewała młodość w powaby takie, że nimi uszlachetniało się to, co było słabością. Gdyby jego nie było w tej poezyi, byłaby ona konwencyonalna, byłaby często świetnym szychem, który kryje próżnię.

Ale on jest w niej z całą wybujałością swego życia wewnętrznego, na które składa się gorycz, zniechęcenie, niepokój, niechęć do czynu, skłonność do marzeń, oderwanie się od złego, które wypełnia świat, które jest hymnem tego świata, a którego unika z odrazą.

> Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
> Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta!**).

Taki był Słowacki w młodości, nim począł się przeobrażać w Paryżu, Genewie i później.

Dr. Tadeusz Grabowski.

Z zbioru pod napisem: „Sonety Polskie".

Grób Słowackiego.

O, mistrzu cudotwórny, który swojem ciałem
Zamieniasz nam to miejsce na ziemię ojczystą,
Pozdrawiamy Cię duszą, z miłości ognistą,
Pozdrawiamy Cię sercem, krwią wezbranem całem!

---

*) *Beniowski*, Pieśń czwarta, oktawa XIV.

*) *Beniowski*, Pieśń pierwsza, oktawa XXV.

**) *Godzina myśli*, wiersz 7—8.

Po pustyni Paryża tu odetchnąć czysto,
Tuśmy razem, w oazie, na tem miejscu małem;
Do Polski, do Ojczyzny natchnij nas zapałem,
Mów do nas, nieśmiertelny na wieki artysto!

Opętaj nas Twym duchem, miłością szalonym,
Zmuś codzień Jej powtarzać miłości różańce
I ku Jej ideałom lecieć nieskończonym,

Abyśmy, choć na świata stąd rozejdziem krańce,
Wrzeli ogniem, u grobu Twego zapalonym,
I myślą: „Polska! Polska!“ byli obłąkańce.

Kasimierz Lubecki.

Język Słowackiego.

Język polski poetycki, najbardziej uprawny i najdawniej rozwinięty ze wszystkich słowiańskich, podobny był do tych odbarwionych przez czas świątyń, wznoszących się do dziś nad Atenami. Miał majestat marmuru i wagę spiżu; posiadł ład architektoniczny i plastykę rzeźbiarską w wysokim stopniu, brakło mu jednak w takim samym stosunku koloru, tak jak naprzykład brakuje go łacinie, na której się urabiał i w której również pierwiastek architektoniczny i rzeźbiarski przeważa nad malarskim. Dopiero od narodzin wielkiej trójcy poetów stał się jakby cud. Oto poezya nasza, nie straciwszy nic z poprzednich przymiotów, rozświeciła się odrazu blaskami zórz i zapłonęła żarem słońca. A stało się to tak bez przejść, bez stopniowań i tak nagle, że sama ta nagłość zjawiska powinna była zwrócić baczniejszą uwagę badaczów. Nie mówiąc już o języku dawniejszej doby, dość jest porównać język poetów z epoki stanisławowskiej i późniejszej z językiem Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, aby spostrzedz, że jest między niemi taka różnica, jaka zachodzi między krajobrazem, widzianym przy szarem jednostajnem świetle chmurnego dnia, a krajobrazem, w którym drgają w najwyższem natężeniu wszystkie barwy istniejące w naturze.

Owóż, można naprzykład twierdzić, że siąg skrzydeł Słowackiego był mniejszy, niż Mickiewicza, lub że głąb myśli Krasińskiego była bardziej otchłanna, niepodobna jednak zaprzeczyć, że między trzema, on właśnie był najświetniejszym iluminatorem. I to jest pierwsza cecha jego wielkości, a zarazem potężniejsza, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Zrównoważyć w języku żywioły architektoniczne i rzeźbiarskie z malarskiemi, być dla niego słońcem, księżycem, zorzą i tęczą, dać mu barwy kwiatów i drogich kamieni, mógł tylko prawdziwie wielki i genialny poeta. Wynikły z tego i dalsze niezmiernej wagi następstwa. Istnieją w naturze zjawiska tak czysto świetlane, a w człowieku rozmaite stany duszy, rozmaite pojęcia, uczucia i poczucia tak subtelne, tak uduchowione i widziadłowe, że mogą być w poezyi oddane tylko — jeśli tak rzec można — zapomocą barwnych i przeźroczych promieni. „Anhelli“, „Król-Duch“, niektóre ustępy z „Beniowskiego“, lub poemat „W Szwajcaryi“ nie mogły być napisane językiem, którym pisał Krasicki, Trembecki, a po nich Osiński — nietylko dlatego, że treść tego rodzaju nie istniała w uczuciu i wyobraźni tych pisarzy, ale i dlatego, że w samym języku nie było na to dość promiennego materyału. Stworzył go w najwyższej mierze dopiero Słowacki, a stworzywszy, zdobył dla poezyi moc wyrażania tego, czego przed nim wyrazić nie była w stanie, rozwinął ogromnie jej pojemność i rozciągnął jej psychologiczne granice niemal do nieskończoności.

Jako przykład pozwolę sobie przytoczyć po raz wtóry poemat „W Szwajcaryi“, a to dlatego, że występuje w nim jeszcze inny, lubo pokrewny poprzednim przymiot, którego dawniejszy poetycki język nie posiadał. Nie chodzi tu już o samą tylko barwę. Wiadomo, że z marmuru nie można kować, a ze spiżu nie można odlewać rzeczy zbyt wiotkich, co zaś do metali wogóle, jedno tylko złoto daje się rozciągać w nić ledwie widzialną dla oka. Taką rozciągliwość dał językowi Słowacki. Czytając „W Szwajcaryi“, otrzymujemy wrażenia marzeń, smutków i nastrojów tak nieuchwytnych, a nawet nikłych, że prawie niema dla nich dźwięków i wyrazów w mowie ludzkiej. A jednak nić złota ciągnie się coraz cieńsza i słowa snują się lekkie, powiewne, utworzone jakby tylko z tęsknoty i woni nocnych kwiatów, cichsze od wypłakanych w samotności łez, senniejsze od snu, mniej materyalne od westchnień.

Chwilami zdaje się, że to są czary! — Mówiąc bez żadnej przesady i bez chęci wynoszenia polskiego języka nad inne, nieraz zadawałem sobie pytanie: czy w tych innych znalazłaby się dość subtelna osnowa dla poematu, utkanego z tak cienkich nitek? I nie wiem. — Odpowiedź wypadała przecząco może dlatego, że wszystkie przekłady, jakie trafiło mi się czytać, były zmateryalizowaniem i pogrubieniem tej pajęczej tkaniny.

Ale natomiast tem potężniejszem świadectwem rozległości geniuszu jest to, że ten sam człowiek, który w owej przedziwnej sielance potrafił być współzawodnikiem Arachny, umiał również, gdy tak mu kazało natchnienie i wola, huczeć jak grzmot, razić słowem jak piorunem, wstrząsać ziemią jak tytan Seismos, lub staczać skały z gór, aby następnie wykuwać z nich ogromne, podobne do szekspirowskich postacie.

Jest rzeczą zdumiewającą, że przy całej swej niepojętej twórczości językowej, Słowacki, chociaż jest królem i władcą mowy „rozokolonej“ prawie bez granic, jednakże nie nadużywa wyrażenia. Styl jego nie przelewa się przez krańce idei, nie przygłusza jej i nie zatapia, ale ją uwypukla i wzmaga. Na ten genialny artystyczny umiar zwracać należy uwagę szczególniej dziś, gdy literatura polska, zatracając prostotę, stacza się częściowo po stromej pochyłości ku nieznośnemu barokowi i gdy na każdą najmarniejszą myśl używa się dziesięć razy tyle wyrazów, ile trzeba, a w dodatku wyrazów jaskrawych i wrzaskliwych jak stado papug, a wykrzywiających się jak małpy. W Słowackim niemasz logorei. On wie, że co innego jest hurkot i zgrzyt młyna, a co innego mąka, z której wypieka się chleb. A dalej: jego główne pomysły, jego idee przewodnie, mogą być w niektórych poematach ukryte jakby za chmurami, tajemnicze i nieprzystępne dla umysłu zwykłego czytelnika, natomiast każde jego zdanie, każdy pojedynczy wyraz ma wprawdzie często własność tęczowania, jaką posiadają dyamenty, ale zarazem i ich przejrzystość.

Przytem w poezyi Słowackiego, obok piorunowych zygzaków, obok bezładnych, potarganych szczytów, wyrzuconych w górę jakby przez wybuch wulkanu, istnieje i prawdziwie olimpijska prostolinijność. Jego człowiek wije się, miota i skręca jak Laokoon, wówczas gdy opaszą go węże bólu, rozpaczy, lub namiętności, ale gdy poeta, naprzykład, mówi:

„W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
„Przegląda blado jak słońce sumienia,
„Chodziłem z tobą jak dwie mary dziwne,
„Jedna z marmuru, a druga z promienia.
„Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
„I nie ruszały włosów ni odzienia,
„Między kolumny na niebie się kreśląc
„Staliśmy — jak dwa sny — oboje myśląc...“

— to otrzymujemy wrażenie nietylko ciszy i spokoju, ale zarazem czysto rysunkowe wrażenie linii do tego stopnia prostych i oględnych, iż zdaje nam się, że mamy przed sobą jeden z obrazów zmarłego niedawno Puvis'a de Chavannes, które są ostatniem słowem elizejskiej ciszy, spokoju i oględnej w wykonaniu prostoty.

Lecz czego w Słowackim niema? Postanowiłem mówić przeważnie o jego języku, trudno jednak nie pochylić głowy i przed łabędzią czystością jego idei, i przedewszystkiem przed tą wielką i głęboką miłością ojczyzny, która czyni poetę podobnym do pochodni, płonącej na jej ołtarzu, albo do trybularza u stóp jej krzyża.

Wszystko to razem wzięte tworzy poprostu ogrom. Pisano już o Słowackim całe tomy, które wszelako nie mogły go pomieścić i nie poruszyły wszystkich strun jego harfy. Tem bardziej nie może temu podołać doraźny, o kilkudziesięciu wierszach artykuł. Muszę jednakże jeszcze powiedzieć, że to, co dziś uważa się za nowe sposoby, nowe nastroje i nowe „dreszcze“ najmłodszej muzy, to zasadniczo, w stanie mniej lub więcej rozwiniętym, znajduje się już w utworach Słowackiego. Przesilono tylko jego właściwości. Z niezliczonych żywiołów jego poezyi porobiono osobne chorągwie, i jak niegdyś monarchię Aleksandra Wielkiego, tak i jego olbrzymie państwo rozdzielono na pojedyncze kraje. Nie Słowackiego wina, że kwitną tylko niektóre, w innych zaś panuje chaos, mrok i barokowa anarchia, albowiem epigonowie dziedziczą zwykle tylko wady geniuszów.

Henryk Sienkiewicz.

Słowacki.

(Przekład z czeskiego).

Muzyka muszli, gdyś ją wziął do ucha,
Pył, co na modrych błyszczy skrzydłach ważki,
Wszelakie Wschodu cuda i igraszki,
Gdzie znikłe raje jawią się dla ducha.

To ryk wulkanu, drżenie w dzień stworzenia
Gwiazd, płacz anioła, gdy dola szczęśliwa,
I sen radości, co się w łzy rozpływa,
I pieśń, po latach budząca wspomnienia.

To wszystko dla mnie brzmi w Twej lutni społem,
I ukołysan pieśnią, co zachwyca,
Pragnąłbym usnąć, nie wzbudzić się wcale.

Lecz ogień, który żarzy pod popiołem,
Nagle ku Niebu tryska w cudu szale,
I w blasku jego płonie — popielnica.

Jarosław Vrchlicky.

Mistrzowi słowa i patryotyzmu.

Ustępy z mowy na cześć Juliusza Słowackiego

Stronice ksiąg Słowackiego iskrzą się tęczowymi słów brylantami. Na białym papierze ksiąg tych nie drukarz wytłoczył czarne litery, ale jubiler rozsypał różnokolorowe drogie kamienie. Te wiersze palą się barwiście Jak ślicznie!.. Czarne łamy czcionek — to grządki kwiatów mowy. Ciemne aksamitne bratki, różowe gwoździki, puszyste pełne stokrocie, lśniące żywem srebrem porannej rosy.. Przepięknie! Na tych książkowych kartkach mieni się życie! Zadrukowane poezyami stronice falują. Głoski drgają, jak na niebieskiem morzu białe pianki, rozszczepiające w sobie światło słońca i tryskające siedmiobarwnymi promykami Wyrazy na książce kołyszą się i zlewają, jak na poruszającej się lekko powierzchni wodnej mocno kolorowe plamy przy zachodzie, co się mieszają w morę na morzu. Chwieją się, ogarniają gorącemi barwy i głębie wód, które w tem oświetleniu otwierają się w bezdeń.. Czarownie.. Tuszem odbite litery wybuchają jak proch! Biją, jak słupy ogniowych iskier, błyszczące kolorowemi kulkami! Wielkie ogniotryski wylatują z siłą i szumem. Zasłoniły wszystko i objęły w swą delikatną atmosferę głowę pochylonego nad książką czytelnika. Oszołomiły go nagłym swym dziwem i fantastycznie cudnym pożarem zapaliły mu duszę.

Subtelny płomień poezyi przeniknął nawskroś istotę czytelnika, iż zmienił się, jak w ekstazie Oczy jego widzą w dal niezmierną, uszy jego przeszłość słyszą, a myśl jego wstępuje w dusze ludzkie i marzy proroczo. Oto jest w kopule podziemnej grobu Agamemnona, oddycha zapachem cząbrów, rosnących na górach spalonych, patrzy na promień słoneczny, rozpięty na ciemnościach, jak struna z arfy Homera... To znów podziwia rozlaną na zachodzie blasków tęczę promienistą i ognistą gwiazdę, którą Bóg gasi w lazurowej wodzie i całe ozłocone niebo i morze... To znów roztaczają się dokoła krainy białych śniegów i błękitnawych lodów, rozjarzone czerwonem światłem zorzy polarnej, zaludnione postaciami legendarnie dziwnemi, wieszczbiarskimi mówiącemi. Słowacki, czarodziej pieśni, wprowadził słuchacza w świat dwunastu harfiarzy, w ożywczy świat bohaterskich baśni, w zachwycający kalejdoskop bajecznych scen. Wprowadził w spisek koronacyjny, drgający żyjącymi obrazami w „Kordyanie“, jak drga puls olbrzyma fantazyi. Gorejąca, ponura fala słów w „Księdzu Marku“, ciężka, jak strumień lawy, cofnęła słuchacza w czasy chmurne, błyskawicami darte.. Ducha legionu litewskiego z 1830-go roku, zapustną wesołość 30-go roku, maskę wojny, przewodnie uczucia patryotów, przetłómaczył Słowacki na pieśni. Kto zagłębił się w nich, w dusze ludzkie wszedł! I marzy widz proroczo, hypnotyzowany wieszczemi zaklęciami mistrza w „Królu-Duchu“. W rozpalonej ognistemi uczuciami głowie Słowackiego krystalizowały się strofy tych rapsodów, pękające gwałtownie, jak granaty słów. Nagle, odrętwiające mocą

myśli przez pół wieku zebrać wśród nich nie można. Wizyami rozkazują, z bajecznych dziejów aż w przyszłość rzucają.

Jest poezya Słowackiego, jak wielka czara ze złota, misterną robotą rzeźbiona, najdroższymi kamieniami lśniąca, przygotowana na uroczystą ucztę duszy. Jest jego poezya, jak w zielonawej toni olbrzymia muszla perłopławu, srebrzyście połyskująca, opalizująca tęczowo, unosząca się w modrości wód niby orzeł biały, co się w błękitach waży. Jest Słowackiego poezya, jak anielskiej piękności dziewica, nieprawdopodobnie śliczna, zjawiająca się niespodzianie, jak niebianka, a wszystkimi wdziękami kraśna. Lecz jakiż nektar w tej bezcennej czarze, lecz jakież perły w mieniącej się konsze, lecz jakaż dusza w tak uroczem ciele?

Królem słowa był ten Wieszcz, a nad nim Królowa: Ojczyzna. Tej to Pani swych marzeń sypał pod nogi hołdownicze utwory swoje, jak się kwiecie sypie. Muzyka arcydzieł jego, to pocałunki na stopach Ojczyzny. Ojczyzna była duszą duszy jego, Miłość Polski ogniem jego natchnienia, myśl o niej była mądrością jego geniuszu. Z roztopionego złota płynnej pieśni swojej odlewał przez życie całe czaszę wspaniałą, zdobił ją rubinowymi i szmaragdowymi blaskami swej wyobraźni i napełnił Miłością Ojczyzny, napojem słodkim, siłodajnym! Jak w perłopławie tworzy się z boleścią perła, tak Słowacki w konsze pezyi swojej zamknął zrodzoną z miłości, z tęsknic i z rozpaczy, perłę patryotyzmu. W niezrównane kształty jego pieśni wcieliła się Miłość Ojczyzny, a pieśń jego stała się narodowym aniołem, cudnym niezmiernie i głoszącym dziwne rzeczy. Tak więc, jak arfa poetycka złote gra pieśni za dotknięciem Słowackiego, podobnie on sam zmienił się w harfę drgającą pod cudownicj jeszcze tworzącem tchnieniem Ojczyzny. U Słowackiego pieśń, to akt Miłości Ojczyzny, a Miłość Ojczyzny znów przetwarza się w pieśń. W pieśń piękną, zasługującą na ukochanie; w pieśń mocną, sercami wstrząsającą, dalsze pokolenia porywającą; w pieśń ojczystej wolności. Poezya Słowackiego, to wspaniały skutek osobistego geniuszu i ogólnej Miłości Ojczyzny. Poezya ta z dwóch takich żarów unosi się w niebo, jak z tlejącego jałowca i topniejącego bursztynu wonny dym kadzidlany, upajający na zachwycenie. Z najwyższej zdolności twórczej i z najgorętszego uczucia patryotycznego, jak ze srebra i złota, uczynił rzeźbiarz polskiego słowa posąg kosztowny i wiekopomny ideowej sztuki. Dwa te pierwiastki duchowe, zjednoczone ze sobą tak koniecznie, jak barwa z przedmiotem, składają się na arcydzieła polskie, to jest na poezyę Słowackiego.

Wnuki pokolenia Słowackiego, wykołysani misternemi zwrotkami nowej pieśni, nastrojeni srebrnemi harmoniami nowej liry; my, wnuki pokolenia Słowackiego, wprawiani w trans przez zaczarowanie ostatniemi słowami poezyi, wyczuleni, jak odgadywacze myśli; my, wnuki pokolenia Słowackiego, w których żyły zastrzyknięto wynalazczej ekstatycznej pieśni i których rozgorączkowano obłędnymi haszyszowymi rapsodami — my, nowi ludzie, młodzi z XX. wieku, szydercze patrzący na dawnych szkół twórczość, wybredni bez miary — przecież bałwochwalczą składamy cześć staremu słońcu poezyi Słowackiego. Słońcu! Wschód jego był krwawy, kolorowemi łunami po Polsce się rozlewał, magicznych barw powodzią Ojczyznę zabarwiał. A potem wzbijało się to słońce wzwyż, a olbrzymi, promieniejący, brylantowy krąg jego dzień czynił. Dzień trwa. Słońce poezyi Słowackiego złociste, niedosiężne, bardzo jasne, jeszcze ani ku południowi nie doszło. Bo blask jego z każdą chwilą potężnieje, z góry oświeca, z niebios włada, żywo działa, świat przenika. Trwa... Słowacki — mistrz mistrzów, poeta nad poetami.

I patryota nie mniejszy. To Miłość Ojczyzny była u niego opoką, wśród której tworzyły się szlachetne kruszce i drogie kamienie poezyi. To Miłość Ojczyzny była czarną ziemią, na której wykwitały kwiaty poezyi jego. To Miłość Ojczyzny była głębiną morską, na której migotały słów piany lotne, otęczone. Pod krainami, które czarem słowa swego roztaczał, jak we wnętrzu globu, pałał wieczny ogień patryotyzmu o mocy wulkanicznej i cieple życiodajnem. Płomieniami Miłości Ojczyzny oświecał przeszłość zamierzchłą i tajemne dusz otchłanie i przyszłość, zakrytą mrokiem oddalenia. Więc jak miłośnicy sztuki tworzą zastęp wielbicieli Słowackiego już nawet dla samej sztuki, tak patryoci tworzą zastęp wielbicieli Słowackiego już nawet dla samej Miłości Ojczyzny w nim. Ona równie zachwyca, jak dla Polski obudza. W Miłości Ojczyzny, w tej idei ogólno-ludzkiej, napełniającej każdą szlachetną pierś człowieczą, tkwi tajemnica, dlaczego Słowacki, artysta wyrafinowany i orli, czczony jest i od tych, którym polot sztuki mało jest znany. Bo Słowacki zniewala sobie wszystkich szczerze czujących, do idei zdolnych. A z takimi jedynie w rzeczach ducha liczyć się należy. Promieniste jego słowa są rozkazem wodza, same przez się genetycznie, bez umowy, z potrzeby serc. Z natury stoi na czele milionowego wojska, które dobrowolnie posłuszeństwo nieśmiertelnemu przodownikowi uczuć ślubuje. Szczątki jego walają się na obczyźnie, a głos jego grzmi hasłem, coraz bardziej wstrząsającem, wskrzeszającem zastygłe myśli o Ojczyźnie i gra wieszczo nad Polską, jak trąby archanielskie, wołające wiecznie śpiących, na zmartwychpowstanie. Rękopisy jego wydają się być testamentem dla narodu.

Tak Mistrz ów przez patryotyzm uczy natchnionej pieśni, wspaniałej, idealnie pięknej: a przez srebrnostrunne swe pieśni naucza Miłości Ojczyzny. W obojgu wielki, polski olbrzym na miarę Fidyasza. W czem większy? Zwyczajnym wzrokiem nie dosięgnąć. Jego artyzm i Miłość Ojczyzny to dwa niebotyczne wierzchołki górskie. Który bardziej niebotyczny? Nie łatwo wzrokiem ocenić. Dość, że majestatycznie wysokie; piramidy, przez Boga zbudowane! Jak przepyszny duet śpiewacki, tak wiążą się w twórczości tego Wieszcza piękno poezyi i ukochanie Polski. Artystyczny to patryota i patryotyczny artysta. Dwiema tylko temi barwami malują portret naszego Mistrza, ale już z ostrych tych zarysów zda się zjawiać archanielska postać Słowackiego. Górnolotną pieśnią i myślą „nadczłowiecka", jakby na skrzydłach niesłabnących, uniósł się do polskich niebios zenitu. Słowacki!...

Dr. Kazimierz Lubecki.

Przyczynek
do sądów współczesnych o Słowackim.

Niejednokrotnie zdarza mi się spotkać „czarno na białem" wyrażone zdanie, że Słowackiego zrozumiano i oceniono dopiero za ostatnich „naszych" czasów. Opinia to stanowczo mylna i raz z nią zerwać należy.

Pytam się tych, co nie mieli szczęścia urodzić się dopiero w ostatnich dziesięcioleciach wieku zeszłego, ale już w jego połowie żyli, lub na świat przychodzili: czy nie pamiętają, jak za ich lat najmłodszych ustalona już była w literaturze „trójca" wielkich poetów narodowych? Nierozłączności tej trójcy nikt wówczas nie kwestyonował — w oczach krytyki i wielbicieli dopełniała się ona wzajemnie. Nie wymawiano nawet nazwisk, a poprzestawano na imionach: każdy wiedział, że na Parnasie polskim jaśnieją trzy słońca, których miano: Adam, Juliusz i Zygmunt. Czasem ulegając modzie, lub potrzebie oddania hołdu któremu z żyjących poetów, do tych trzech nazwisk, lub imion, dodawano czwarte. A więc: Deotyma, Kornel, Pol, Syrokomla, Seweryn, Teofil, Asnyk... Ale to czwarte z pierwszych miejsc na Parnasie nigdy nie było stale zajęte; lokatorowie jego się zmieniali, stosownie do zmiany gustu krytyki lub entuzyastów. Wszystko to szacowne imiona, każdemu należy się piękna karta w dziejach naszej poezyi, ale bądź co bądź niezmienną na najwyższym szczeblu hierarchii pozostała tylko ta trójca. I pozostanie zapewne jeszcze długo, pomimo że i dziś czwarte miejsce jest chwilowo zajęte.

Następnie powołuję się na pamięć tych, co koło roku 1870, a więc czterdzieści już lat temu, byli „młodzieżą". Czy zaprzeczą oni, że Słowacki był wówczas ich bożyszczem? Kogo, jeżeli nie jego, najwięcej wówczas czytano, studyowano, deklamowano? Jak Krasiński pisał o Mickiewiczu: „My z niego wszyscy", tak cała plejada młodych poetów, z czasów, o których mówię, przyznawała się publicznie: My wszyscy ze Słowackiego. Potężny jego wpływ odbijał się na każdym ich utworze. Naśladowali bezwiednie jego cudny język, jego formę wiersza. Kto z nich wówczas nie pisał oktawami, zapożyczonemi z Beniowskiego? Był to czas, w którym zdawało się, że nawet Mickiewicz będzie na rzecz Słowackiego strącony ze swego tronu. Ratowało go to, że był przedstawicielem najdroższych ideałów, że czczono w nim nietylko wieszcza, ale obywatela, że widziano w nim wodza narodu, Króla-Ducha czasów polistopadowych.

Kto zresztą pierwszy doczekał się wielkiej monografii, jeżeli nie Słowacki? Mickiewicz czekał jeszcze długo na Chmielowskiego, Kallenbacha i na dzieło synowskiego pietyzmu, kiedy dzieło Małeckiego o Słowackim było w ręku każdego inteligentnego Polaka. A było to temu lat 43 — dzieło Małeckiego wyszło w r. 1866.

A kto pierwszy z tej trójcy dostał się do rąk ogółu w taniem popularnem wydaniu, jak nie Słowacki (w r. 1882)?

A kto, jak nie Słowacki, królował na scenie polskiej między 1870 a 1880 r. Nie mówię już o „Mazepie", „Maryi Stuart", „Balladynie", ale w tych czasach ujrzeliśmy w oprawie scenicznej „Beatrix Cenci", „Horsztyńskiego", „Niepoprawnych", zanim później przyszła kolej na „Sen srebrny Salomei", „Złotą czaszkę", „Księdza Marka", „Kordyana". Prawda, że w tem oddaniu hołdu poecie nie brała udziału scena warszawska, ale to było jedynie winą smutnych stosunków. A i tak jednak na deskach Wielkiego święcił tryumfy „Mazepa", choć na afiszu imię jego autora znaczyło się tylko inicyałami.

Więc nie mówmy o świeżym kulcie Słowackiego, kiedy twierdzenie to nie jest zgodne z rzeczywistością.

Natomiast przyznać należy, że za życia Słowacki nie był dostatecznie uznany i zrozumiany. Przytłaczała go olbrzymia popularność jego wielkiego rywala. Mickiewicz był już głośny w całej Polsce, kiedy Słowacki dopiero zaczął zdobywać sobie imię. Z imieniem Mickiewicza łączyła się sprawa filaretów; — przymusowy pobyt w Odesie, Moskwie, Petersburgu dał go poznać całej oświeconej Rosyi. Autor „Konrada" wszedł już do literatury europejskiej, kiedy genialny „Julek" znany był dopiero w małem kółku przyjaciół i wielbicieli. A gdy rozpostarł swe skrzydła do szerszego lotu, ukazała się trzecia część „Dziadów" (1832), ukazał się „Pan Tadeusz" (1834). Stawały mu więc na drodze dwa olbrzymy. I nie dziw, że się męczył, zniechęcał, że toczyła się w nim nieustanna walka między wiarą w swe siły a obawą, czy dotrzyma placu. Dodajmy jeszcze dominujące stanowisko jego wielkiego rywala wśród emigracyi, dodajmy, że ten rywal prowadził za sobą rzesze, wierzące w jego misyę apostolską, że była to „najjaśniejsza gwiazda Polski, największy mąż", że był to „największy nasz ojciec" (słowa współczesnych), że później głos jego przemawiał do całej Europy z katedry literatury słowiańskiej, a zrozumiemy, jak trudno było się z nim mierzyć Słowackiemu, i dlaczego pieśń Juliusza nie miała tylu słuchaczów, ilu ich mieć była powinna.

Zjadliwa krytyka takich Ropelowskich (kto ciekaw, niech czyta dzieło Tretiaka) szkodziła też wielce popularności poety. Nie żałowano mu złośliwych docinków w pisemkach emigracyjnych. Przytoczę na próbę jako *curiosum* drobiazg z *Pszonki*, pisma satyrycznego, wydawanego przez Leona Zienkowicza, przy współpracownictwie takiego estety, jak Lucyan Siemieński, który sam przecież był wybitnym poetą.

„Dziwowano się w *Młodej Polsce*, pisał *Pszonka*, że pan Słowacki, choć tak piękne i brylantowe pisze wiersze, nie znajduje odgłosu w narodzie. Mówiono także, że nie trzeba było aż na Wschód jeździć, aby napisać „Anhellego", którego nieszczęściem nikt nie rozumie. Na to odpowiada pan Słowacki: Wiem ja dobrze, że mnie nie rozumieją, i ja też nie chcę, aby mnie rozumiano dziś, ale za sto, dwieście, tysiąc lub dziesięć tysięcy lat! Więc ta przepowiednia ziści się zapewne w roku platonicznym, to jest kiedy znowu powtórzy się pan Słowacki i zrozumie swego „Anhellego" — sam".

Jeżeli na emigracyi nie rozumiano Słowackiego, cóż się dziwić, że jeszcze mniej rozumiano go w kraju. Ba! ten kraj prawie go nie znał. Jedynie Wielkopolska była wówczas w tych szczęśliwych warunkach, że mogła czytać prawie wszystko, co w języku polskim wychodziło. W Galicyi przez rogatki cenzury mało co się przedostawało z zagranicy — w Rzeczypospolitej krakowskiej urządzano wielkie łowy na „Pana Tadeusza" (czytaj o tem artykuł dr. Chmiela w *Przeglądzie literackim*, wydawanym w r. 1896 przez podpisanego). A cóż dopiero mówić o Królestwie i Litwie, gdzie „zakazana" książka była niesłychaną rzadkością, a posiadanie jej prowadziło za sobą groźne następstwa.

Warszawa więc prawie całkiem nie znała Słowackiego. Tylko do sfer literackich przekradały

się o nim jakie takie wiadomości, tylko do tych sfer drogą tajną dochodziły urywki jego natchnienia. Bo pomimo argusowych oczu cenzury, krążyły oddzielne tomiki jego utworów i odpisy jego „wierszy“ z pism emigracyjnych i poznańskich. Dostawały się one „na złość strażnikom ceł“ — jednych entuzyazmowały, dla drugich były zagadką.

Sądzę, że nie bez interesu dla wielbicieli Słowackiego będzie drobny, nieznany dokument, świadczący, jak się zajmowano Słowackim w Warszawie, co o nim mówiono, jak mało go rozumiano. Dokumentem tym będzie wyjątek z dziennika mojego ojca (Juliana). Ale naprzód małe objaśnienie.

Ojciec mój po powrocie z uniwersytetu petersburskiego spisywał swój dziennik. Powtarzam: dziennik, nie pamiętnik. Prowadził go tylko dla siebie, aby (co parokrotnie zaznaczał) mógł przypominać sobie na starość, (której, niestety, nie doczekał się) dni swojej młodości. Były to drobne szczegóły, interesujące tylko autora i jego najbliższych. Te suche notaty ożywiły się nieco, kiedy autora przeniesiono za karę z posady nauczyciela I-go gimnazyum warszawskiego na posadę nauczyciela w progimnazyum koneckiem. Wina jego była ogromna: oto śmiał na podstawie źródeł rosyjskich napisać rzecz o Helenie Iwanównie, żonie Aleksandra Jagiellończyka. Cenzura nie dostrzegła na razie niebezpieczeństwa dla państwa, nie dostrzegła „polskiej intrygi“ i pozwoliła drukować artykuł w *Bibliotece warszawskiej*. Ale kiedy zeszyt *Biblioteki* miał się już ukazać, otworzyły się oczy cenzorów. Już sam temat był niebezpieczny, a cóż dopiero jego obrobienie: autor mówił o tolerancyi polskiej, przytaczał ustępy z listów Heleny, w których żaliła się przed ojcem na jego wiarołomną politykę...“ Pachniało to wyraźnie buntem, więc zeszyt *Biblioteki* skonfiskowano, autora zaś, w drodze łaski, po wielu protekcyach i staraniach, skazano na pobyt w Końskich, z zakazem oddawania się literaturze. Musiał podpisywać swoje artykuły pseudonimem.

Było to w r. 1847 i w tym czasie właśnie ożywia się dziennik, bo autor wypadał na święta ze swego wygnania, z zapadłej prowincyonalnej „dziury“, do Warszawy i notował wrażenia z dni przebytych w kołach literackich. A przyjmowano go w nich serdecznie, gdyż towarzyszyła mu sympatya, jaką przestępstwem swojem i karą za nie pozyskał.

Pierwsza wycieczka do Warszawy przypadła na święta Bożego Narodzenia 1847 r. Pobyt przedłużył się do Trzech Króli.

Oto urywek z rozdziału: „Pobyt w Warszawie“:

„...Za to nasłuchałem się dużo o Poznaniu, o Mierosławskim i jego współobwinionych, o emigracyi, o usposobieniu Galicyi i rządu austryackiego dla Polaków, o naszym nowym kodeksie kar głównych i poprawczych. Czytałem mowy Lelewela w Brukseli i Mickiewicza, w której cieszy się, że sprawa nasza leży przed królem pruskim i światłem narodu niemieckiego. Widziałem i miałem w ręku, ale niestety, nie miałem czasu czytać, bo to było już na samem wyjezdnem, poemat Juliusza Słowackiego „Król Duch“, nowo co wyszły. Zabawny spór toczył się o ten poemat. Wilkoński mówił, że to głupstwo, że nic tej poezyi nie rozumie. Żona jego także nie wszystko rozumiała, ale poematowi przyznawała zalety. Włodzimierz Wolski mówił, że „Król Duch“ bez wartości A Lenartowicz żwawo się upierał za Słowackim. Mówił, że w poemacie myśl wielka, że poeta czasem ciemny, mistyczny, ale że Towiańczyk, więc wierzy w przejście duszy do duszy, a jego Her Armeńczyk właśnie z osoby przechodzi w osobę, to w Rytygiera się zmienia, to w Iwana Groźnego, tow..., a zawsze kocha orężem Polskę, orężem chce zmusić, żeby go Polska kochała. Wreszcie dziś dopiero pojął tę prawdę, że kochać trzeba uczuciem, nie przemocą. Zakończył Lenartowicz, że gdyby Wolski dwie, trzy strofy „Króla Ducha“ napisał z takiem serdecznem przekonaniem, z taką myślą, już byłby wielkim poetą. Czemu tu wierzyć?

„Dziwi mnie przecież sąd Lenartowicza. O Słowackim zawsze odzywał się z przekąsem i z pewnym rodzajem politowania. Mówił dawniej, że z całej jego poezyi jedna rzecz ładna jest tylko, ten hymn piękny, drukowany gdzieś w pismach poznańskich, którego każda strofa kończy się wyrazami: „Smutno mi, Boże!“ A teraz ten sam Teofil wychwalał, wynosił Słowackiego za „Króla Ducha“, choć przyznawał, że ciemny, że trzeba go się domyślać. Wilkońska nie przystawała na obronę Lenartowicza. Ja się do sporu nie mieszałem, bom nawet nie widział poematu, a dopiero na wyjezdnem mi go pokazano.

„Ten spór toczył się u Wilkońskiego dn. 4 go stycznia (1848 r.) przed obiadem. Był to dzień imienin Chałubińskiego (Tytusa). Żeby kochanego doktora uczcić, dawał August Wilkoński obiad dla niego, który zarazem był i pożegnaniem dla mnie. Zaprosił w tym celu i mojego ojca Prócz nas i Chałuby byli: Lenartowicz, Skimbor (Skimborowicz), były podpułkownik Hornowski, Kamionowski Wiktor, dobry chłopiec, którego dawno znałem z widzenia, Kaczkowski jakiś młody, Franke niemiec, który stoi u Wilkońskich, berlińczyk, zakuta głowa. Napoleona wróg, bo mu odmawia nawet osobistej odwagi, króla pruskiego przyjaciel i dopiero w Warszawie trochę republikanin. Ostatni przyszedł Włodzimierz Wolski...“

Na tem kończę wyjątek z „dziennika“. Sądzę, że ta drobnostka, „ciekawostka“, stanowi bądź co bądź maleńki przyczynek do sądów współczesnych o Słowackim i z tego powodu jest na miejscu w numerze poświęconym przez *Straż Polską* jego pamięci. *Kazimierz Bartoszewicz.*

Sprowadzenie zwłok Słowackiego.

(Notatka).

Komitet lwowski, zajmujący się obchodem setnej rocznicy urodzin Słowackiego, podał do wiadomości, iż rząd francuski zgadza się na oddanie szczątków wielkiego poety w celu przewiezienia ich do kraju. Nie ulega zatem wątpliwości, że w r. b. spełni nasz naród swój obowiazek i popioły wieszcza złoży na ziemi ojczystej.

W chwili takiej należy może przypomnieć dzieje usiłowań, czynionych w tym kierunku.

Już przed laty przeszło dwudziestu młodzież akademicka krakowska powzięła myśl sprowadzenia zwłok twórcy „Króla-Ducha“. Dawna Czytelnia akademicka zebrała nawet na ten cel paręset guldenów, ale z rozwiązaniem Czytelni (koło 1890) rzecz ucichła. Dopiero X. zjazd Zjednoczenia Towarzystw młodzieży polskiej za granicą, który się odbył w Antwerpii 1896, podniósł tę myśl na nowo, wskutek inicyatywy Towarzystwa młodzieży polskiej „Spójnia“ w Paryżu. „Spójnia“ polecono wybór komitetu, któryby działał razem z krakowskiem stowarzyszeniem młodzieży „Zjednoczenie“. Po porozumieniu się obu tych stowarzyszeń, Zjednoczenie podjęło akcyę i przekazało ją na razie swemu zarządowi, aż do utworzenia komitetu obszerniejszego. Wkrótce wydrukowano odezwę i zorganizowano komitet, który jednak nie posunął sprawy naprzód i uległ zmianie. Nowy komitet, na czele którego stanął Sewer Maciejowski, starał się drogą listów i odezw nawiązać stosunki z krajem i zagranicą. Składki z różnych stron zaczęły powoli napływać. Sumy znaczniejsze wpłynęły z kasyna w Sniatynie, z Krotoszyna, od młodzieży polskiej w Poznaniu, od młodzieży polskiej w Lipsku itd. słowem, powoli sprawa postępowała naprzód. Wkrótce jednak Sewer Maciejowski złożył godność prezesa komitetu, wskutek różnicy zdań, tyczącej się przeznaczenia reszty składek, jakaby mogła pozostać po zupełnem ukończeniu akcyi komitetu. Spór zabawny, - w kasie nie było jeszcze dziesiątej części sumy, potrzebnej do spełnienia zadania, a już walczono o to, co począć z nadwyżką.

Sprawę podjęto na nowo w grudniu 1898, za inicyatywą akademika p. Seweryna Krzemieniewskiego i prezesa Zjednoczenia, dra Ryszarda Kunickiego. Na posiedzenie, zwołane dnia 14. grudnia, przybyli delegaci wszystkich stowarzyszeń akademickich, oraz osoby, zaproszone z poza grona młodzieży. Po kilku posiedzeniach, na których omawiano sposób utworzenia i zakres działania komitetu obszerniejszego i ściślejszego, uchwalono wreszcie, aby komitet obszerniejszy składał się z 52 członków, komitet ściślejszy zaś z 12. Stosownie do tej uchwały przeprowadzono wybory.

Komitet obszerniejszy składał się z 20 delegatów różnych stowarzyszeń akademickich (Zjednoczenia, Czytelni akadem., Jagellonii, kółek naukowych) oraz z 32 osób z poza młodzieży akademickiej. Do komitetu ściślejszego powołano pp. K. Bartoszewicza, dra A. Bełcikowskiego, prof. O. Bujwida, T. Czaplickiego przewodniczącego Czytelni akademickiej, Z. Daszyńską-Golińską, J. Kotarbińskiego, S. Krzemieniewskiego, dra R. Kunickiego, przewodniczącego „Zjednoczenia“, Ad. Siedleckiego, prof. J. Stanisławskiego, Włodz. Tetmajera i dra J. Żuławskiego. Komitet ukonstytuował się, wybierając prezesem prof. Bełcikowskiego, jego zastępcą K. Bartoszewicza, sekretarzem S. Krzemieniewskiego, zastępcą sekretarza A. Siedleckiego, skarbnikiem O. Bujwida, zastępcą skarbnika dra R. Kunickiego.[1])

Jeszcze przed ukonstytuowaniem się komitetu ściślejszego wniesiono podanie do namiestnictwa o zezwolenie na zbieranie składek. Podanie to podpisali pp. K. Bartoszewicz i Włodz. Tetmajer.

Komitet ściślejszy, w oczekiwaniu przychylnej decyzyi namiestnictwa rozpoczął czynności przygotowawcze. Przedewszystkiem uchwalił udać się do stu kilkudziesięciu osób, przeważnie ze świata literatury i sztuki, z zapytaniem o ich opinię, gdzie najwłaściwiej byłoby złożyć prochy poety. Następnie przygotował listy składek i odezwę, wzywającą ogół do uiszczenia się z obowiązku względem śmiertelnych szczątków Słowackiego. Odezwę napisał Jerzy Żuławski.

Pozwolenia na zbieranie składek udzieliło namiestnictwo 26. kwietnia 1899.

Składki jednak płynęły nadzwyczaj skąpo. Słomiany nasz ogień i tu święcił tryumfy. Co więcej, sprawa w pewnych sferach nie była popularną. Jako charakteryzujący szczegół przytoczę, że wiele „firm“ literackich nie chciało należeć do komitetu obszerniejszego, a jeden z głośnych poetów odmówił swego podpisu na podaniu do namiestnictwa. Ówczesna dyrekcya teatru, proszona o danie przedstawienia na rzecz zbieranego funduszu, przewlekała sprawę dopóty, póki nie uchyliła się całkiem od tego obowiązku.

W ciągu 2 lat zebrano i to z trudem zaledwie koło półtora tysiąca reńskich, z czego jeszcze część, co prawda drobną, użyto na pokrycie kosztów (druki list składkowych, korespondencye itp.)

Nie udała się nawet akcya „badania opinii“, gdzie złożyć prochy poety. Otrzymano zaledwie kilkanaście odpowiedzi, z których co najwyżej można było wywnioskować, że nikt nie chce widzieć Słowackiego na Skałce, składki „kapały“, ale coraz rzadziej.

Tymczasem w komitecie ściślejszym powstały luki. Członkowie jego z pośród młodzieży, ukończywszy uniwersytet, rozjechali się po świecie — nowych na ich miejsce nie wybrano. Przewodniczący komitetu zapadał wciąż na zdrowiu, aż w końcu usunął się zupełnie.... Wreszcie paru członków komitetu z zasady nie pojawiało się na żadnem posiedzeniu.

W tych warunkach czterej pozostali członkowie komitetu zgodzili się chętnie na propozycyę „Czytelni akademickiej“, aby dalszą akcyę złożyć w jej ręce. Zastrzegli jedynie, że zebrany kapitał (koło 2000 złr.) wydadzą dopiero wówczas, gdy młodzież zbierze kwotę równą zebranej przez komitet.

Propozycya Czytelni nie trafiła jednak do przekonania ogółu młodzieży. Komers ogólno-akademicki w dniu 12. maja 1903 uchwalił powołać do życia nieczynny komitet obywatelski i nadał mu nową organizacyę. „Atoli mieliśmy sposobność (słowa „Jednodniówki ku czci Słowackiego“, wydanej przez komitet akademicki w r. 1904) oglądać smutną niezaradność nowego komitetu: rok z górą minęło od tego czasu, a ten odnowiony komitet nie uczynił kroku naprzód“.[2])

Czytelnia akademicka jednak nie zasypiała sprawy. Wybrała komitet, do którego należeli akademicy pp. Stefan Góra (prezes), Kazimierz Kwoczyński, Juliusz Haraschim, Wład. Reicher, Mieczysław Dziurzyński i Kazimierz Lubecki, prezes Czytelni akademickiej. Panowie ci wzięli się do rzeczy... praktycznie.

Widząc, że składki, mimo gorących wezwań, nie dopisują, że obojętności ogółu przełamać nie można, rzucili się na pole „przedsiębiorstw“ i „subwencyi“. Niestety, tą jedynie drogą, co prawda mniej może sympatyczną, da się u nas jeszcze coś przeprowadzić.

Udano się więc z prośbą o subwencye do rad powiatowych i miejskich. Z tego źródła wpłynęło na razie 900 koron.

Wydano artystyczne kartony, ozdobione portretem wieszcza, a mające służyć do ułożenia z nich wieńców biletowych z podpisami ofiarodawców. To przedsiębiorstwo jednak zawiodło. Cena kartonu wynosiła koronę, widocznie była... za wysoką.

Wydano następnie „Jednodniówkę“, obszerny tomik (str. 151) — ale i z tej jednodniówki nie było materyalnej pociechy.

Za to powiodło się zapukanie do ofiarności Paderewskiego. Proszony o danie koncertu „król fortepianu“ (wyrażenie sprawozdania) nie mógł wprawdzie zadość uczynić żądaniu, ale złożył na ręce komitetu 815 kor., jako część dochodu z 3 swoich koncertów.

[1]) W krótkich dziejach początkowej akcyi, zamieszczonych w jednodniówce, wydanej przez Czytelnię akademicką imienia Mickiewicza (w r. 1904) mylnie podano jako prezesa komitetu Michała Bałuckiego i wogóle dość mylnie przedstawiono całe dzieje tej akcyi.

[2]) Z kogo składał się ów odnowiony komitet, nie wiem, bo w tym czasie opuściłem Kraków na czas dłuższy. *K. B.*

Dalej na rzecz zbieranego funduszu wygłosił odczyt przybyły w tym celu z Warszawy prof. Kallenbach. Dochód z odczytu przyniósł 180 kor.

Z balu akademickiego (część dochodu), z wieczorów i przedstawień wpłynęło koło 1100 kor.

Wogóle pierwszy rok 1903/4 przyniósł dochód 3185 kor. — w których **s k ł a d k i** i „inne dochody" (prócz powyżej wymienionych) przedstawiają się w kwocie 166 kor.! Kwota ta aż nadto charakteryzuje... ofiarność publiczną.

W ten sposób komitet w dalszym ciągu gromadził powoli fundusze. Z większych kwot wpłynął dochód z koncertu Michałowskiego (400 kor.), z wieczoru deklamacyjnego Tarasiewicza (1200 kor.), wreszcie z przedstawienia „Kordyana" i z rautu koło 2000 kor.

W rezultacie po 6 latach gromadzenia funduszów komitet (który, nawiasem mówiąc, w r. 1905 odłączył się od Czytelni akademickiej i działał samoistnie) zebrał kwotę 10.100 kor.

Na sumę tę złożyły się:

a)	dary	500 K
b)	listy składkowe	1000 „
c)	przedsiębiorstwa	6500 „
d)	subwencye rad powiatowych, miejskich i instytucyi finansowych	2100 „

Prócz tego w rękach dawnego komitetu obywatelskiego znajduje się koło 4000 kor., u p. Fischera (pierwszy komitecik z r. 1887) koło 400 K, w muzeum Rapperswylskiem 1500 K, w komitecie lwowskim koło 1000 K. Razem wszystkie fundusze wynoszą obecnie około 17.000 K.

Odtrącając dwie z dawnych czasów kwoty 400 i 1500 K (u p. Fischera i w Rapperswyllu), odtrącając procenty, w ciągu lat przybyłe (które wynoszą zapewne przynajmniej 1500 kor.) — widzimy, że w ciągu 10 lat usiłowań komitetów obywatelskiego i akademickiego, udało się uzyskać koło 13.500 koron, a więc przeciętnie po 1350 kor. rocznie. W kwocie tej **s k ł a d k i** rzeczywiste nie przenoszą 3.000 kor.

Świadczy to dość smutnie o naszem pojmowaniu obowiązków względem prochów wielkiego poety. Sprowadzenie szczątków Mickiewicza poszło więcej gładko, ale tylko dzięki temu, że komitet pomnikowy dostarczył na ten cel nadwyżki z swych funduszów, a resztę kosztów pokrył Wydział krajowy.

Ale porzućmy smutne refleksye. Zanotujmy natomiast nazwiska tych, którym przypadło w udziale zaszczytne doprowadzenie sprawy do końca. Dzisiejszy skład komitetu stanowią pp. dr. Stefan Góra, który stale przewodniczył komitetowi od r. 1904, Władysław Sierbiejewicz, słuchacz prawa, zastępca przewodniczącego, Mieczysław Dziurzyński, rygorozant filozofii, skarbnik, Wincenty Wysocki, ryg. fil. i Ludwik Małecki, sł. praw, sekretarz. Prócz tego komitet składa się z 20 członków i 4 delegatów wiecu akademickiego.

Podanie do rządu francuskiego o wydanie zwłok Słowackiego wniósł komitet jubileuszowy lwowski z Radą miasta Lwowa. Popierali sprawę na miejscu mieszkańcy Paryża: w imieniu komitetu lwowskiego p. Niesiołowski, a w imieniu komitetu krakowskiego p. Koszkiewicz. *K. Bartoszewicz.*

„Jak przygotowano insurekcyę".

(Ciąg dalszy).

Kościuszko z Zajączkiem i Rafałem Kołłątajem stanął na Podgórzu koło 10. września. 8. września wyjechał naprzeciw niego z Warszawy Barss i Pawlikowski; złączył się z nimi Dzimiński, porucznik brygady Madalińskiego. W drodze widzieli Madalińskiego i wojsko, gotowe na rozkazy Kościuszki [1]); spotkali i Czyża, któremu się nie udał projekt natychmiastowego wybuchu rewolucyi. Stanęli 11. września na Podgórzu, gdzie się już znajdował Kościuszko, przybyły pod nazwiskiem Milewskiego. Barss przedstawił zamiary i przygotowania. Po Sołtyka, który miał działać w Krakowskiem, posłano Januszewicza, sekretarza akademii. Kościuszko miał mówić, że wyśle Zajączka do Warszawy, aby podnieść powstanie, a sam uderzy na Piotrków, gdzie stał Möllendorf. Kiedy go Pawlikowski spytał o opinie polityczne, wziął go za rękę i rzekł z poruszeniem: „Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej tylko wystawię me życie".

Tymczasem pokazało się, że Sołtyk nic nie zrobił z generałem Wodzickim. Dzimiński ściągnął na Podgórze Mangeta, dowódcę brygady Walewskiego, stojącego w obozie Wodzickiego pod Krzeszowicami. Manget, zobaczywszy Kościuszkę, zmieszał się, ale natychmiast przystał do rewolucyi, ostrzegał jednak, że kawalerya, będąca pod jego rozkazami, pójdzie niezawodnie, ale na infanteryę nie ma żadnego wpływu. Sądził, że najlepiej udać się wprost do Wodzickiego. Proszono Mangeta, aby podjął się tej misyi. Wodzicki, zawiadomiony o rewolucyi i o „osobach, które do niej wchodzą", oświadczył, że natychmiast stanie pod rozkazy Kościuszki. Chcąc bliżej dowiedzieć się o przygotowaniach, wysłał Kościuszko Zajączka do Warszawy i żądał raportów z innych stron kraju; sam zaś oddalił się z Podgórza i bawił w okolicy Niepołomic, czy też w Wiatowicach pod Gdowem [2]). Kilku wtajemniczonych wyjechało natychmiast w różne okolice, a przychodzące od nich wiadomości były „najpomyślniejsze". Kościuszko jednak nie śmiał zaczynać, a nalegania Pawlikowskiego brał za zapał młodości. Tymczasem przybył do Kościuszki Jelski z Warszawy „dla przyspieszenia większego". Ale zamiast „przyspieszenia" utwierdził Kościuszkę w „przewłoce", mówiąc, że Litwa nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana. Miano zaprzeczeń Pawlikowskiego, Kościuszko uwierzył Jelskiemu i wysłał go na Litwę przez Warszawę, gdzie miał zalecić dalsze przygotowania do rozpoczęcia rewolucyi na zimę. Również widzenie się Wodzickiego z Kościuszką, po drugiej stronie Wisły naprzeciw Tyńca, wpłynęło ujemnie na przyspieszenie wybuchu [3]). Wodzicki bowiem nie okazał się tak gotowym jak w pierwszej chwili, wymawiał się, „wchodził w polityczne okoliczności i pokazywał nieporę zaczynania rewolucyi"; w końcu „zdawał się skłaniać", ale wyraźnego oświadczenia zrobić nie chciał. Kościuszko, przeprawiwszy się napowrót do Tyńca, po odjeździe Wodzickiego, powiedział Pawlikowskiemu, że uda się do Włoch; na błagania Pawlikowskiego zauważył, że nie potrzeba wszystkim powiadać o jego wyjeździe, a on „stawi się, gdy czas będzie". Nareszcie pokazał Kościuszko dwa listy — jeden od Zajączka z Warszawy, który donosił, że przygotowania są małe, chłopi zimni, szlachta obojętna [4]), a drugi od Sołtyka, donoszący, iż rozeszła się wiadomość pomiędzy kawaleryą o przybyciu Kościuszki i żołnierze z powodu tego śpiewają pieśni narodowe i odgrażają się Prusakom, na granicach nowego kordonu stojącym. Pawlikowski zbijał doniesienia Zajączka, a list Sołtyka przedstawiał jako dowód zapału. Kościuszko oświadczył w końcu, że zatrzyma się, czekając na odpowiedź Wodzickiego, a tymczasem napisał listy do Jelskiego i Zajączka, z któremi pojechał Pawlikowski, aby dogonić Jelskiego. W liście do Jelskiego Kościuszko dawał mu instrukcye i zawiadamiał, że udaje się do Pizy, ale stawi się, „gdy będzie gotowość". Pawlikowski, bojąc się wrażenia, jakie ten list uczyni, wymazał Pizę z listu. W trzy dni po jego wyjeździe Wodzicki doniósł Kościuszce, że komenda rosyjska kogoś szuka i radzi mu, aby natychmiast wyjechał. Kościuszko usłuchał rady. Później się pokazało, że szukano tylko zbiegów wojskowych.

Tak przedstawia rzecz Pawlikowski. Barss w swoim raporcie, pisanym w pół roku później dla rządu francuskiego, nie wdaje się naturalnie w takie szczegóły, ale oświetla rzecz z innego stanowiska, w czem jednak nie stoi w sprzeczności z Pawlikowskim. Mówi on, że zaraz po spotkaniu się z Kościuszką na Podgórzu przedstawił mu w obecności Zajączka stan rzeczy. Kościuszko wezwał do narady kilku oficerów z obozu krakowskiego. Na tej naradzie nastręczyły się „szkopuły" i środki do ich zwalczenia. Pozycyę wojsk, rozłożonych między Nowem Miastem a Krakowem, uznano za niekorzystną, ponieważ za pierwszem poruszeniem otoczone one byłyby przeważnie siłami wojsk pruskich i rosyjskich. Należałoby więc wywołać dywersyę przez powstanie ludu miejskiego i wiejskiego na północy Litwy, przez poruszenie Tatarów litewskich, Kozaków i Ukraińców, ażeby w chwili, kiedy wojsko polskie zaatakuje Rosyan, powstańcy, poprzedzeni wojskiem liniowem, rzucili się na oddziały rosyjskie, stojące na Litwie i na Ukrainie, dla przeszkodzenia im w udzieleniu pomocy armii rosyjskiej w Polsce stojącej. Takąż samą dywersyę należałoby urządzić od strony Prus. Co do broni uznano, że jest jej ilość dostateczna. W arsenale warszawskim jest 400 armat i 20.000 sztuk broni; szlachta ma szable i strzelby; mieszczanie również je mają; włościanie, mieszkający w pobliżu lasów, posiadają broń palną, a „wszyscy prócz tego mają oręż straszliwy w swych kosach; forma kos polskich pozwala z łatwością przytwierdzać je poziomo do kijów". Naradzano się następnie nad umundurowaniem, nad składami amunicyi i żywności. Uznano, że najlepiej byłoby akcyę rozpocząć, kiedy wojska nieprzyjacielskie udadzą się na zimowe leże. Z chwilą gdy Warszawa zacznie działać, powinno wybuchnąć powstanie jednocześnie w kilku punktach. Następnie odczuto potrzebę ustanowienia klubów patryotycznych, któreby znosiły się z sobą, agitowały wśród ludności za powstaniem; kiedy rzecz dojrzeje, ludzie, wybrani z członków komitetu, powinni stanąć na czele ludu, rozmieścić go po oddziałach i walczyć na ich czele pod rozkazami władzy tymczasowo ustanowionej, złożonej z wojskowych i członków różnych komitetów. Utworzenie owych klubów uważano za rzecz największej wagi, a nie trudno było wprowadzić je w życie, ponieważ już wiele stowarzyszeń ludowych powstało nagle w Warszawie, Poznaniu, Wilnie, Krakowie, Piotrkowie itd.

Plan ten — mówił dalej Barss — wymagał jednak czasu i pieniędzy. Kościuszko nie mógł pozostać dłużej na Podgórzu bez obudzenia czujności Austryaków, zwłaszcza że obecność jego zdradzały już okrzyki radosne ludu i wojska na granicach Polski. Aby zmylić przeto nieprzyjaciół i „nie stracić na przyszłość zasobów, z których teraźniejszość korzystać mu nie pozwala", postanowił wyjechać do Włoch, obiecując, że jak tylko rezultaty narady podgórskiej zostaną urzeczywistnione, natychmiast na wezwanie do Polski powróci. Po rozstaniu się z Kościuszką, wtajemniczeni porozjeżdżali się po województwach, aby działać w myśl instrukcyi. Barss pojechał w sandomierskie i sieradzkie i był zachwycony ogólną gotowością; można zresztą przypuścić, że pisząc raport dla rządu francuskiego, znacznie przesadzał, aby rzecz w lepszem przedstawić świetle. Powrócił do Warszawy w pierwszych dniach listopada.

Godząc te dwie relacye, Pawlikowskiego i Barssa, można powiedzieć w ogóle, że Kościuszko odniósł ujemne wrażenie o przygotowaniach, a stąd uznał wybuch powstania za przedwczesny. Pawlikowski ogromnie narzekał, że rzecz została odwleczona. Dość szeroko wykazuje stan wojska, zgadzając się mniej więcej z obliczeniami Barssa. Zwłoka zmniejszyła tę siłę, bo wkrótce Moskwa gwałtem i namową zaczęła zniewalać żołnierza polskiego na Podolu, Wołyniu i Ukrainie do wejścia w służbę rosyjską, stąd za insurekcyi tylko część jego drobna przerżnęła się do szeregów ojczystych. Nie podobała się zwłoka i Kołłątajowi: „Odjazd tak daleki pana Rafała — pisze do brata Jana — z kolegą jego podróży, wcale mi się nie zdaje. Opóźnienie oczywiste. Okoliczności miną, a później interes może będzie trudniejszy"... [5]).

---

[1]) Pawlikowski str. 84. Barss pisze ze swojej strony, że pomiędzy żołnierzami był zapał, a i chłopi o nikim z takim zapałem nie rozmawiali, jak o Kościuszce.

[2]), Paszkowski str. 49. wymienia Zabawę Wojciechowskiego aż pod Tarnowem. W Wiatowicach mieszkała wdowa po generale Dębickim (Dębicki, Puławy I. 386). Zresztą słusznie zauważył O. Wacław, że niema tu sprzeczności, bo Kościuszko mógł i tu i tam bawić, a nawet jeszcze gdzieindziej.

[3]) Pismo „Kościuszko" przytacza, iż koło roku 1840 Wład. Łuszczkiewiczowi i Karlińskiemu, późniejszemu astronomowi, kiedy jako koledzy szkolni, zaskoczeni burzą na wycieczce, zanocowali w kole Tynieckiem, ktoś powiedział: „Macie panowie szczęście, że wam przyszło nocować w tym samym domu, gdzie nocował Kościuszko". Drobny ten szczegół wykazuje nawet w drobiazgach ścisłość opowiadań Pawlikowskiego.

[4]) Zajączek w swym pamiętniku podaje, co doniósł Kościuszce. Członkami związku rewolucyjnego — pisał — „są osoby bardzo gorliwe, ale zbytecznym zajęte zapałem, nie dość środków używające". Nie mają pewnego planu. Powstania włościan nie przygotowano, a całą nadzieję gruntowano na powszechnej nienawiści do Moskwy" i ufności narodu w Naczelniku. Oddawał Zajączek hołd Działyńskiemu, ale mówił, że oprócz niego i Madalińskiego, tylko niższej rangi oficerowie do związku należeli. Nie można wiedzieć „jak sobie postąpi wojsko do służby rosyjskiej przymuszone", ponieważ spuszczano się tylko na „tajemne chęci niektórych osób tego korpusu". Wogóle Zajączek zarzucał, że przygotowania są małe, porozumienia niedostateczne. Pawlikowski twierdzi, że Zajączek z nikim się widzieć nie chciał, prócz z bratem swoim i dwoma własnymi znajomymi, że nie dopełnił polecenia Kościuszki, aby się ułożył ze sprzysiężonymi i „jak się potem pokazało, dla niebezpieczeństwa urojonego swej osoby wyjechał z Warszawy". Kostomarow (l. c. 700) podaje, że Zajączkowi kazał wyjechać Igelstrom.

[5]) W pamiętniku, później naturalnie pisanym, Kołłątaj mówi, że Kościuszko nie znalazł żadnych przygotowań i musiał odjechać do Włoch. Zostawił tylko instrukcye, „aby zapał w poczciwych nie upadł". Zgromadzenie warszawskie uznało plan jego za niepodobny do wykonania, a Działyński i Kapostas tak daleko rozszerzyli sekret, iż ten zupełnie do króla doszedł. Uczestnikiem jego niewątpliwie był Cichocki generał i Sierpiński. Lecz mimo tych dwóch sam Działyński powierzył go królowi. (Tokarz, tom II., str. 238).

Ale najgorsze wrażenie odwłoka wywarła w Warszawie. Działyński, dowiedziawszy się o odjeździe Kościuszki, „głośno okazał swe nieukontentowanie“. Sprzysiężeni zebrali się na naradę. Liczba ich znacznie się zwiększyła, na posiedzenie przybyli, prócz dawnych członków Komitetu: Piotr Potocki, Zieliński, podkomorzy nurski, Stanisław Ledochowski wojewodzic, Franciszek Orsetti i Jan Dembowski sekretarz Ignacego Potockiego. Kiedy czytano list Kościuszki, na wyraz o d j a z d wszyscy się poruszyli i przypisali winę tego „nadzwyczajnego kroku, Jelskiemu i Pawlikowskiemu. Działyński rzucił list na ziemię; „sam przyganiał sobie, iż był za tem, aby wzywać Kościuszkę — bez niego bylibyśmy już swoje zrobili“. Chcieli z nim zupełnie zerwać, ale czytając po raz drugi list, dostrzegli, że Kościuszko nie oznaczył, gdzie wyjechał. Nie przypuszczali, aby „opuścił Polskę w tak ważnej chwili; sądzili prędzej, że osoby wysłane do niego wzbudziły nieufność swoim niskiem stanowiskiem“. Więc postanowili wysłać do Kościuszki „wysokiego urzędnika krajowego“, którego w tajemnicy miały wybrać trzy osoby. Wtedy Pawlikowski oświadczył, że Kościuszko wyjechał do Włoch, ale widocznie mu nie uwierzono, kiedy wybrano na poselstwo Piotra Potockiego i Orsettiego. Ci pojechali do Krakowa, sądząc, że Januszewicz wskaże im miejsce pobytu Kościuszki, ale ponieważ ten nic nie wiedział, więc powrócili z niczem do Warszawy.

Tymczasem z Litwy i z Wielkopolski od obywatelstwa przychodziły pomyślne wiadomości; takież z same od wojska na Litwie i Ukrainie.[6]) Jednocześnie jednak Rosyanie przyspieszali zmniejszanie wojska. Działyński i Cichocki „potrafili je przeciągać przez zawikłania rachunków i wiele innych zwlekających przyczyn“[7]) Gorący Pawlikowski, sądząc, że Kapostas i ulegający mu Działyński najwięcej szybkiemu działaniu opierali się, za pomocą dwu kobiet (jedną z nich była żona Barssa) wpłynął na Kapostasa, że przestał się ociągać i na gwałt chciał sprowadzić Kościuszkę. Na posiedzeniu związkowych u Kapostasa wydelegowano Jelskiego i Pawlikowskiego do Kościuszki, przedtem jednak mieli oni z Zielińskiem i Orsettim udać się do Madalińskiego i wojska „naokół stojącego“, aby zebrać podpisy i pokazać Kościuszce, iż zgadzają się poddać jego rozkazom. Posiedzenie skończyło się o 10 wieczór, a już o północy „przeznaczeni wyjechali“... W tem miejscu przerywają się pamiętniki Pawlikowskiego, z których najwięcej korzystaliśmy przy opowiadaniu o Związku warszawskim i jego czynnościach.

Pawlikowski nie pojechał jednak z Jelskim do Kościuszki, a zastąpił go oficer Guszkowski (inni nazywają go Goszkowskim.) Uznano bowiem, że ten jako wojskowy zda najlepsze relacye Kościuszce i najlepiej też pojmie jego instrukcye. Spotkali się dopiero z Kościuszką we Florencyi, kiedy wracał z Rzymu. Zastali we Florencyi Niemcewicza i marszałka Małachowskiego — Kościuszko przyjechał dopiero w dni kilka. Niemcewicz w swych pamiętnikach opisuje jak się widział z Jelskim, z rozmowy z którym przekonał się, że Zajączek miał słuszność, pisząc, że więcej było zapału niż rzeczywistego przygotowania.[8]) Według pamiętnika Kołłątaja wysłańcy „zaręczali“ Kościuszce, że wszystko już przygotowane do insurrekcyi, że tylko przybycia jego czekają, aby rozpocząć. Ostrzegali zarazem, że „jeżeli nie zjedzie, wojsko rozproszone zostanie, najlepsi oficerowie się rozejdą i nie będzie można niczego dokazać“. Kościuszko, według Kołłątaja odparł, że planu jego w niczem nie przeprzeprowadzono; zaklinał, aby zastosować się do instrukcyi, gdyż inaczej, „insurekcya nie będzie powszechna i bardzo będzie do niej trudno przystąpić“. Obiecał z początkiem lutego zjechać do Drezna i kazał sobie przesyłać raporty. Polecił delegowanym, aby wracali na Drezno i stamtąd „potrzebne rady, stosownie do jego planu odebrali“. W zgodzie z tem jest relacya Niemcewicza, któremu Kościuszko mówił, że wiadomości, jakie miał z kraju i z Lipska, „nie pozwalają na tak słabych podstawach budować“, że „smutnie byłoby lekko i nierozmyślnie zacząć, by upaść“.

To spotkanie się Kościuszki z warszawskimi wysłańcami miało miejsce w końcu grudnia 1793 roku, lub na początku stycznia 1794 roku, gdyż Barss, który w styczniu wyjechał z Warszawy, zastał już obecnych Jelskiego i Guszkowskiego w Dreźnie. W tym czasie Parandier dostał wezwanie francuskiego ministra spraw zagranicznych, aby przybył do Paryża w towarzystwie którego z Polaków, w celu wyjaśnienia planu powstania i przygotowanych środków. Pojechał z nim Barss, który też — wkrótce złożył ów „raport historyczny“, z którego cenne szczegóły przytoczyliśmy. Staraniem Parandiera i Barssa, jako umocowanego demokracyi lipskiej i komitetu warszawskiego, było pozyskać od Francyi pomoc pieniężną. Kołłątaj pisze, że obliczono ją poprzednio na kwotę jedenastu milionów liwrów i że właśnie wskutek tego przedstawienia został Parandier wezwany „dla porozumienia się tak względem principiów jako i sposobów przyprowadzenia do skutku tej wielkiej roboty“.

Jelski i Guszkowski wyjechali wkrótce z Drezna z zaleceniem, aby przez czas układów z Francyą wstrzymać wybuch przynajmniej do końca marca.

Wśród tych przygotowań doszła wiadomość z Wiednia, że Austrya wie o mającej wybuchnąć insurrekcyi i pragnie się także do niej przygotować w Galicyi. „Gubernator Galicyi — pisze w swym pamiętniku Kołłątaj — miał od swego dworu zlecenie szukać między znaczącymi Polakami takiego, któryby się podjął zrobić insurrekcyę, gdyby na to był od Austryi w czasie wezwany. Ci, z którymi o to traktował, wskazali mu Polaków w Dreznie mieszkających, na co on odpowiedział, że o tamtych dwór wiedeński wie; lecz gdy mu kazał we Lwowie szukać, znać, że chciał mieć nocyę o dyspozycyach innych Polaków. Wypadało to właśnie w czasie frymarków króla pruskiego o subsydya na nową kampanię. Do tej konfidencyi mieli być przypuszczeni: Seweryn Potocki (poseł bracławski) i Tadeusz Morski (kasztelan kamieniecki) ludzie, po których nie można było nic obiecywać, jak po tych, którzy ani kredytu, ani odwagi nie mieli. W rzeczy zaś samej krok ten jedynie do tego zmierzał, aby rozszerzona pod mniemanym sekretem wiadomość mogła obudzić ufność Polaków w domu austryackim, żeby też rząd galicyjski pewniej wiedział, jeżeliby Polacy zamyślali w swym kraju insurrekcyę. Czas bowiem odkrył, że ta konfidencya krótko trwała, a nawet gubernator Brigido, który ją otworzył, odwołanym został“[9]).

(Dok. nast.) *K. Bartoszewicz.*

W sprawie wyparcia obcych przetworów i narzędzi lekarskich.

Sprawozdanie krakowskiego „Komitetu popierania krajowego przemysłu lekarskiego“.

(Dokończenie).

III. Co się tyczy n a r z ę d z i c h i r u r g i c z n y c h itd., to bojkot wyrobów niemieckich tego działu może byłby najwięcej wykonalny, gdyby z jednej strony ogół lekarzy, a zwłaszcza szpitalnych i profesorów przedmiotów klinicznych i praktycznych, zechciał przejąć się tą myślą przewodnią, a przedewszystkiem zobowiązał do bojkotu właścicieli składów narzędzi chirurgicznych, upewniając ich, że nie sprowadzając wyrobów niemieckich, nie poniosą żadnej straty, a wreszcie, że pod żadnym warunkiem kupować nie będą narzędzi, pochodzących z fabryk niemieckich. Referent tej sprawy, doc. dr C h l u m s k y, po skomunikowaniu się z fabrykami niemal całej Europy, prócz oczywiście niemieckich, doszedł do wniosku, że najlepsze warunki daje fabryka Schärera w Bernie szwajcarskiem, z filiami w Brukseli i Lozannie; dalej idą wyroby fabryki Quinion w Paryżu i braci Čížek w Pradze. Wszystkie te zakłady przyobiecują znaczne zniżki, sięgające do 20%. Fabryka braci Čížek dostarcza również materyałów opatrunkowych i przyborów ze szkła. Z innych firm, które opust przyobiecały, wymienia dr Chlumsky następujące: Porges w Paryżu (instrumenta urologiczne), Stille w Stokholmie, Hoffmann i Rychlik w Pradze.

Urządzenie sal operacyjnych (umywalnie, autoklawy, sterylizatory) można prawie w całości przeprowadzić w kraju: a o ile by to w pewnej mierze wykonać się nie dało, braki można korzystnie uzupełnić według koreferenta tego działu, dra Tymoteusza P i o t r o w s k i e g o, wyrobami francuskimi (Quinion, Mathieu, Adnet). Według dra Piotrowskiego stoły operacyjne i umeblowanie sal operacyjnych wyrabiają następujące firmy polskie: Gostyński w Warszawie, Gorecki, Gramatyka, Staszczyk w Krakowie. Subtelne roboty w tym zakresie z korzyścią nabywać można w fabrykach francuskich pp. Vast, Quinion, Mathieu i szwajcarskich p. Scharera i innych. Umeblowanie izb szpitalnych w zupełności można wykonać u firm krajowych, mianowicie (prócz wyżej wymienionych) w zakładach pp. Kaczkowskiego w Lublinie, Jarnuszkiewicza w Warszawie, Piotrowskiego we Lwowie — wreszcie w fabrykach austryackich.

Co do narzędzi położniczych i ginekologicznych to na podstawie zestawienia katalogów stwierdził dr Piotrowski, że w cenie, równej cenom francuskim, a czasem i niższej, dostarczają firmy: Jodłowski w Warszawie, Odelga w Wiedniu, Nowakowski w Wiedniu, Rychlik, bracia Čížek w Pradze. Lepsze, lecz droższe narzędzia z tego działu wyrabiają firmy francuskie: Collin, Aubry, Vast i inne.

IV. W sprawie wyparcia wyrobów pruskich z d z i a ł u o k u l i s t y k i zadanie nasze według referenta, prof. M a j e w s k i e g o, może najłatwiejsze, gdyż wyroby niemieckie tego działu nigdy nie cieszyły się tem uznaniem, co narzędzia firm francuskich. Prof. Majewski ilustruje swoje twierdzenie przykładami używania wyrobów firm francuskich i wykazuje ich nadzwyczajną trwałość, co w rezultacie czyni je istotnie tańszemi. W dalszym ciągu podaje prof. Majewski, że np. klinika okulistyczna krakowska wysyłała dawniej narzędzia do ostrzenia do Paryża; od pewnego czasu, po wypróbowaniu pracowni jednego z mechaników krakowskich, klinika nie ostrzy narzędzi w Paryżu, gdyż czynność tę wykonywa mechanik p. Ornatowski równie dobrze; podejmuje się on także wykonywania niektórych narzędzi okulistycznych i to w stopniu, nie pozostawiającym nic do życzenia. Referent jest zdania, że i inni mechanicy nasi są również uzdolnieni do tego rodzaju wyrobów i że większość narzędzi okulistycznych da się wyrabiać w kraju bez najmniejszej szkody dla okulistów; tam jednak, gdzie nasza wytwórczość nie wystarcza, zwracać się należy do przemysłu francuskiego, zwłaszcza że wskutek przeprowadzonej korespondencyi otrzymał referent deklaracye poważnych zniżek od pierwszorzędnych firm francuskich (Gentil 15%, Cornet 10%, Giroux 10—20%, Collin 10%). Nieznaczna nadwyżka cen wyrobów francuskich wynagradza się ich trwałością i dokładnością. W jednym względzie lekarze nie będą mogli według referenta obejść się bez produkcyi niemieckiej: to w dziale przyrządów i instalacyi elektrycznych, którym zawładnęła wielka firma pruska Reiniger, Gebbert i Schall; firmy wiedeńskie biorą towar z Prus. Istnieje zakład w Bregencyi (Vorarlberg) pod nazwą „Elektra“, wyrabiający niektóre przyrządy elektryczne lekarskie po cenach przystępnych.

Wyrób sztucznych oczu jest do tej pory w rękach Niemców, a Wiesbadeńska fabryka Müllera przysyła do nas corocznie współpracownika, który na miejscu dorabia protezy potrzebującym. Zaprzeczyć się nie da, powiada prof. Majewski, że wyroby fabryki Müllera są pierwszorzędnej jakości, ale przypuszczać należy, że oczy sztuczne, wyrabiane we Francyi, nie są gorsze, a tylko nam nieznane; należałoby i pod tym względem zwrócić się do producentów francuskich. Z tych na pierwszy plan wybija się dr Colomb, który wydał nawet książkę o protezie ocznej. Referent kończy swoje wyczerpujące sprawozdanie przytoczeniem firm francuskich, a po części i innych krajów, z podaniem szczegółowych adresów.

Wyciągając ze wszystkich referatów ogólny wniosek, dochodzi się do przekonania, że bojkot wyrobów niemieckich z zakresu lekarskiego na razie może być tylko częściowy, lecz że nie ustając w działaniu, można go nietylko rozwinąć, ale i wzmódz

---

[6]) Sołowiew podaje, że w tym czasie wielu wyższych wojskowych przybyło z Warszawy, żądając od Działyńskiego pod groźą śmierci, aby przyjął naczelne dowództwo. Ofiarowano je i Madalińskiemu.

[7]) Skałkowski w życiorysie Dąbrowskiego (Kraków 1904 Monografie, w zakresie dziejów nowożytnych, tom IV.) przypuszcza (bez dowodów) że prawdopodobnie Dąbrowski, jako członek komisyi wojskowej, wywierał wpływ „na możliwie jak najmniej szkodliwe wykonanie uchwał sejmowych o redukcyi wojska“ w kierunku zachowania mu sił najlepszych (str. 69).

[8]) Niemzewicz. Pamiętniki, l. c. str. 190.

[9]) Rząd austryacki po prostu dowiedział się czego chciał i wkrótce po wybuchu insurrekcyi uwięził tych wszystkich, co rozwinęli akcyę pomocniczą. Prócz aresztowanych: Waleryana Dzieduszyckiego, Dzierzkowskiego i t. d. rozkazał uwięzić w Karlsbadzie Zabiełłę, Piatolego i Stanisława Potockiego; osadzono ich w Josefstadzie. Drzewiecki, Czosnowski i Błędowski w kajdanach z Brodów do Lwowa zostali przywiezieni. Politykę austryacka dobrze określają słowa generała Harnoncourta do Michała Czackiego: Przedsięwzięcie wasze jest zbyt zuchwałe, jednak jeżeliby się udało, otwarcie będziemy z wami, w przeciwnym razie rzucim się na was“. Mówił to Harnoncourt, gdy Kościuszko stał pod Połańcem i gdy mu żywności z magazynów austryackich dostarczano. (Michał Czacki. Wspomnienia. Poznań 1862 str. 45.

własną wytwórczość w tym kierunku; wszystkie jednak czynniki: lekarze, aptekarze, właściciele składów narzędzi chirurgicznych, muszą zgodnie iść do jasno wytkniętego celu. Główna atoli rola przypada obok prymaryuszy szpitali profesorom klinicznym i przedmiotów praktycznych, którzy z jednej strony bez cienia agitacyi z katedry mogą i powinni nauczać o lekach i przyrządach pochodzenia nie niemieckiego i sami nimi się posługiwać w klinikach, a z drugiej strony oni jedni mogą wywrzeć skuteczny nacisk na krajowe pracownie i składy narzędzi chirurgicznych, oświadczając stanowczo, że dalsze zakupy dla klinik, szpitali, sanatoryów i własnego użytku czynić będą u nich pod tym tylko warunkiem, jeśli te narzędzia będą pochodzić nie z pracowni niemieckich, lecz z tych zakładów, które oni wskażą. Zapatrywanie to na czynną rolę, która przypada profesorom klinik i prymaryuszom szpitali w przeprowadzeniu bojkotu przetworów i wyrobów niemieckich, wymaga zmiany w składzie osobowym Komisyi bojkotowej i tym wnioskiem należy zakończyć obecne sprawozdanie z dotychczasowej działalności tej Komisyi.

Sprawozdawca: *Dr August Kwaśnicki*
Przewodniczący Komitetu.

Głosy członków „Straży Polskiej".

I.

W sprawie „bojkotu pruskiego" zabierało głos wielu ludzi odemnie światlejszych i mających jaśniejszy pogląd na zorganizowanie bojkotu i możność go przeprowadzenia. Wynik pracy jest mniejszy, niżby się spodziewać należało ale można i musi się go usprawiedliwić. Z kupców, powołanych przedewszystkiem do tej pracy obywatelskiej, niektórzy nie mogli dotychczas zerwać stosunków handlowych z Prusami, drudzy nie zdołali wziąć rozbratu z tradycyą, inni znowu nie wzięli sobie tego ruchu do serca.

Rozlega się hasło: „Organizujmy się!" Zgoda! ale poza tem niech każdy bojkotuje to „pruskie", czego odmówić sobie może i co w swym zakresie bojkotować zdoła. Dzienniki nasze do tego bojkotu wiele dopomódz mogą, wskazując publiczności codziennie artykuły w kraju wyrabiane i dając jej zarazem możność rozróżnienia wytworu krajowego od pruskiego i zagranicznego.

W zawodzie aptekarskim jest wielkie pole do tej obywatelskiej pracy. Wprost obfite przyniesie plony, jeżeli zawód aptekarski i lekarski zgodnie pracować będą. Solidarność ta będzie bez szkody dla wiedzy, bez szkody dla hygieny i dla zdrowia klientów obu zawodów, a jest ona potrzebą czasu, potrzebą ojczystą, obowiązkiem patryotycznym i ekonomicznym. Należy zająć się n. p. zaraz gorąco zgromadzeniem: aptekarzy, drogistów, lekarzy i właścicieli składów wód mineralnych i przedłożyć na zgromadzeniu sprawę bojkotu wody „Selters" we wszystkich jej gatunkach. Równą wartość naszych dwóch źródeł z wodą selcerską poruszano już niejednokrotnie i dokładnie. Jeżeli lekarze polecać będą swym pacyentom krajowe wody lub sztuczne z polskich fabryk, to bojkot wody „Selters" zostanie pomyślnie załatwiony. Przy tej sposobności odniosą korzyść krajowe fabryki szkła, papieru i korków. W dalszym ciągu należałoby rozwinąć w tym kierunku agitacyę we Lwowie, Przemyślu, Jarosławiu i może jeszcze w innych większych miastach Galicyi; mniejsze miasta bowiem najprawdopodobniej zaopatrują się w wodę selcerską tylko w składach miast wyżej wymienionych.

Zapasy z roku 1908 należy podzielić między siebie, rozsprzedać, a potem wody tej już nigdy nie sprowadzać. Rezultat: wyżej miliona koron corocznie w kraju zostanie. *T. G.*

II.

Szanowna Redakcyo![1]) Już w Nr. 5. i 6. Redakcya zawiadamiała swoich czytelników, iż z powodu braku miejsca „Rozmaitości", „Kronikę" i „Kącik" zostawia do następnego numeru; a w numerze 8 również zaznaczyła: „Z powodu braku miejsca musimy resztę Kroniki odłożyć do styczniowego numeru." A przecież w takiem piśmie jak „Straż" rozmaitości, kącik i kronika, to nie żadne fraszki ani żarciki, to wiadomości i ważne i w każdym numerze nader pożądane dla czytelników. Przeto nie powinniśmy pozwalać na to, żeby „Straż" była zmuszoną odkładać podobne wiadomości do następnego numeru. Śmiem więc uprzejmie prosić, by Sz. Redakcya corychlej, czy to przez ogłoszenie w Straży niniejszego wniosku, czy też może sama wprost zwróciła się z prośbą do wszystkich swoich czytelników o poparcie i zechciała zaraz ogłosić, iż „Straż Polska" już w II-giem półroczu od lipca b. r. zacznie wychodzić jako dwutygodnik. Na ten cel posyłam od siebie co mogę, a więc 2 korony.

Bardzo wiele doniosłych i trafnych zdań uczeni myśliciele wypowiedzieli w broszurce „O chwili obecnej".[2]) Należałoby tylko ze zastanowieniem wybierać i zastosowywać je tam, gdzie okaże się potrzeba, i wytężyć wszystkie siły nasze, zdążając zgodnie naprzód ku wyzwoleniu się corychlej z obcej zależności.

Skorośmy rozpoczęli bojkot, to starajmy się usilnie przeprowadzić go, ile możności, wszędzie i wciąż bez najmniejszej folgi, ale też i bez jakichkolwiek objawów nienawiści. Nie obliczajmy strat, wynikłych wśród tych lub tamtych naszych sąsiadów, choćby nam wrogich. Nie cieszmy się ich stratami, ani ich upadkiem, może nawet mylnie przewidywanym. Świadomi naszego położenia pracujmy zawsze spokojnie lecz wytrwale — budźmy uświadomienie o konieczności wytworzenia wśród społeczeństwa naszego samopomocy ekonomicznej. Idźmy do ludu i wszędzie głośmy, przemawiając do ambicyi jego, że „wszelkie kupowanie towarów u obcych, przyjaciół czy wrogów, jest zależnością ekonomiczną, i upokorzeniem, bo przyznaniem się do własnej niższości", jak mówi jeden z autorów „Chwili obecnej".

Zaznaczam też, a to z naciskiem, że bardzo dodatnio do pomyślnego bojkotu przyczynić się mogą nasze niewiasty i to tak niewiasty w pierwszym rzędzie inteligentne, jak i mieszczki i kobiety wiejskie; przeto powinniśmy koniecznie pozyskiwać jak najwięcej naszych niewiast do udziału w tej pracy — boć one najwięcej zajmują się wszelakiem kupnem i sprawunkami. Ale dajmy im do ręki zaraz łatwy do wyszukania naszych towarów skorowidz, w którymby odrazu znaleźć mogły wszystkie te towary, których powinny żądać bądź w sklepach bądź na targach i jarmarkach. Tym skorowidzem niech będzie zamiast w numerze na osobnym arkuszu wydrukowany taki wykaz zawierający same polecone towary przez „Straż Polską". Na osobnym arkuszu (rodzaj kuponu) dlatego, ażeby nasze niewiasty nie musiały za każdym razem dopiero przypominać sobie w którym to numerze „Straży" te lub rozmaite inne towary były polecane. Takiem szukaniem dopiero po gazetach zniechęcają się niewiasty a im dużo zależy na czasie. Taki wykaz stale przy piśmie dodawany (choćby tych samych towarów już poprzednio ogłaszanych) będzie bardzo praktyczny, bo niewiasty będą mogły w każdej chwili przejrzeć spis towarów i przyswoić sobie nazwy firm. Mając zaś już kilka takich wykazów do rozporządzenia będą mogły pokazywać je, a nawet darować swoim znajomym i innym osobom. Tym sposobem ogromnie będą wpływać wprost na kupców, którzy oczywiście, widząc się tak przypartymi przez nasze niewiasty do muru, zrozumieją własny interes i żądaniom publiczności zadośćczynić będą.

Koszta wydawania takiego arkusza mogliby ponosić kupcy — których towary polecać się będzie.

Nadto wszystkich kupców, których towary będą stale polecane w takich wykazach, należy zachęcić do wypłacania małego rabatu (procentu) odbiorcom, a to przez wydawanie im przy każdorazowem zakupnie małych karteczek, opatrzonych pieczątką firmy, datą oraz kwoty, za którą odbiorca zakupił towarów. Za zwrotem kartek n. p. za 50—100 K nabranych towarów kupiec wypłaci odbiorcy gotówką albo w towarach umówiony procent.

Ten sposób już dawno jest stosowany w Król. Polskiem po sklepach robotniczych, towarzyskich, a także i u niektórych kupców a to z bardzo dobrym skutkiem. Niechże więc i nasza Straż u nas między kupcami a odbiorcami takie stosunki corychlej zawiąże. *J. Górniak.*

Uwaga Redakcyi: Podzielając zdanie pana Górniaka, postaramy się o sporządzanie projektowanych przez niego wykazów. Rabat, o którym on wspomina, jest już w wielu sklepach krakowskich udzielany. Co do wydawania naszego pisma częściej, a mianowicie 2 razy na miesiąc, odebraliśmy już sporo życzeń, a i sami mieliśmy zamiar zamienić nasz miesięcznik na dwutygodnik. Ale musieliśmy się liczyć z funduszami, a kosztorys wypadł niepomyślnie. W każdym razie zamiaru nie zrzekliśmy się i może się go nam uda przeprowadzić.

[1]) Autor tego listu nadesłał nam już poprzednio obszerne swoje uwagi w sprawie „Straży Polskiej". Z braku miejsca musieliśmy umieszczenie ich odłożyć na później. Dziś podajemy w skróceniu drugi jego list — w skróceniu dla tego samego powodu, to jest dla braku miejsca. Opuszczamy między innymi wstęp, w którym autor oddaje gorące pochwały naszej pracy i naszemu pismu. Jesteśmy za to uznanie serdecznie mu wdzięczni, ale jako przeciwnicy wzajemnej admiracyi, nie możemy sami dawać złego przykładu.

[2]) Odbitka z Przeglądu Powszechnego (Dyskusya w sprawie bojkotu).

Z naszego przemysłu i „bojkotu".

Dostawy publiczne a przemysł krajowy. Centr. Zw. przem. gal. donosi: Od niedawna począł wchodzić w życie zwyczaj, że władze i instytucye przy rozpisywaniu dostaw (zwłaszcza na artykuły chemiczne) używały nazw, zastrzeżonych obcym fabrykom jak: rostinit, farba bessemerowska i t. p., a nie nazw ogólnych, przez określenie cech jakościowych, celu dostawy lub przez podanie nazwy gatunkowej (np. „farba do malowania żelaznych mostów"). Na zwyczaj ten zwrócił uwagę Centr. Zw. galic. przem. fabr., przedstawiając, że tego rodzaju ograniczanie doboru artykułów, potrzebnych do wykonania danej dostawy, jest szkodliwe dla produkcyi krajowej, często jakościowo wcale nie ustępującej tym obcym fabrykom, na których rzecz stwarza się formalny monopol, z góry przepisując dostawę wytworu, którego nazwa im jest wyłącznie zastrzeżona. Uwzględniając te motywy, zarówno namiestnictwo jak wydział krajowy, dyrekcye kolei państwowej, oraz dyrekcye poczt i telegrafów, wydały zgodne zapobiegawcze zarządzenia, mające zwłaszcza znaczenie dla krajowej fabrykacyi farb i lakierów.

Zjednoczenie przemysłu tkackiego. Pod tą nazwą zawiązało się we Lwowie stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką, w którem zjednoczyły się galicyjskie stowarzyszenia i spółki tkackie. Celem Zjednoczenia jest podniesienie zarobku i gospodarstwa swoich członków drogą wzajemnej pomocy technicznej, handlowej i kredytowej, w szczególności zaś przez ulepszanie, ułatwianie i rozszerzanie produkcyi tkackiej i zapewnienie zbytu wyrobów. Zjednoczenie będzie pośredniczyć w masowem sprowadzaniu materyałów surowych, specyalizować pewne okolice w pewnych tylko gatunkach, wreszcie pośredniczyć między producentami a konsumentami. Zadaniem Zjednoczenia będzie też podejmowanie większych dostaw, którym pojedynczo podołać nie mogą poszczególne stowarzyszenia. Zjednoczenie postawiło sobie za zasadę, nie ubiegać się o wielką liczbę członków, lecz przyjmować jedynie producentów. Wprawdzie w ten sposób nie zdobędzie Zjednoczenie większego kapitału zakładowego, ale uzyska siłę wewnętrzną. Zarząd spoczywać będzie w rękach fachowych w przemyśle tkackim.

Zastępstwo gal. przem. w Ks. poznańskiem. Wydawca czasopisma zawodowego *Kupiec* w Poznaniu, p. Artur Gustowski, otworzył niedawno w gmachu redakcyi (ul. Wrocławska l. 19) tego czasopisma stałą wystawę wzorów i próbek polskiego przemysłu, przeznaczając poczesne miejsce dla wyrobów przemysłowych z Galicyi. Z wystawą połączona jest ajencya handlowa, która obejmuje zastępstwo galicyjskich wyrobów na Księstwo poznańskie na dogodnych warunkach. Kilka poważnych firm galicyjskich, które oddały tej ajencyi swoje zastępstwo, spotkało się z życzliwem przyjęciem poznańskich rodaków. Bliższych wyjaśnień w tej sprawie udziela „Biuro Ligi Pomocy przemysłowej" we Lwowie.

W grudniu r. 1903 odbyła się w Rzeszowie pierwsza w kraju wystawa prac terminatorów. Powodzenie jej zachęciło ludzi dobrej woli do założenia stowarzyszenia pod nazwą Muzeum przemysłowe. Powstało ono w r. 1906 i rozpoczęło swą działalność od urządzenia drugiej takiej wystawy. Prócz tego dla zaznajomienia publiczności i kupców z wyrobami krajowymi Muzeum urządziło w swym lokalu nieustającą wystawę wyrobów krajowych ze szczególnem uwzględnieniem produkcyi miejscowej i okolicznej.

Dalszem działaniem Towarzystwa było objęcie przez jego Zarząd szkoły koszykarskiej, założ. w Przewrotnem przez ś. p. ks. Jana Brodę. Prócz tego urządzało Towarzystwo bezpłatne odczyty z zakresu przemysłu i rękodzielnictwa.

W r. 1907 oprócz prowadzenia w dalszym ciągu prac podjętych, Muzeum przeprowadziło utworzenie w Rzeszowie Związku powiatowego stowarzyszeń cechowych, wyjednało fundusze dla kilku rzemieślników i przemysłowców w celu zwiedzenia wystawy wiedeń-

skiej, wreszcie założyło skromną biblioteczkę kosztem członków Wydziału.

Sprawozdanie Muzeum za r. 1908 wykazuje 201 członków. Ruch na wystawie nieustającej znacznie się zwiększył tak pod względem ilości odwiedzających, jak pod względem sprzedaży komisowej towarów. Szkoła koszykarska nie daje spodziewanych rezultatów wskutek wahania się, cen i olbrzymiej konkurencyi krajowych szkół koszykarskich, które, mając zapewnione pokrycie niedoborów, sprzedają swe wyroby nieraz niżej kosztu.

Muzeum wzięło udział w wystawie krajowej w Jarosławiu, skupiając w jedną grupę wystawców rzeszowskich. Niedobory pokryto z własnych funduszów.

Hasło „Precz z towarem pruskim" pobudziło zarząd do zorganizowania i przeprowadzania bojkotu. Aby miasto do tego przygotować, urządzono trzy odczyty z historyi handlu i przemysłu polskiego. W czasie postoju wystawy zwołano wiec bojkotowy.

Czynności komisyi przemysłowej Towarzystwa objął „Związek stowarzyszeń przemysłowych", obradujący w lokalu Muzeum. Staraniem tego „Związku" rozpoczną się w tych dniach wykłady zastosowane do potrzeb rękodzieł (buchalterya, towaroznawstwo, narzędzia i maszyny itd.) Związek urządzi stałą wystawę próbek materyałów surowych i półfabrykatów dla nauki poglądowej. Prócz tego ułożył statut i memoryał w celu utworzenia funduszu, przy którego pomocy rękodzielnicy mogliby otrzymywać zaliczki na wyroby i pieniądze na zakup u źródeł materyałów surowych.

Osobno wspomnimy o powstałem staraniem Muzeum stowarzyszeniu „Własną pracą".

Prezesem Muzeum jest dr. Roman Krogulski, sekretarzem dr. Kazimierz Wilusz, skarbnikiem inż. Jan Żurowski.

Wychodząc z tego założenia, że akcya bojkotu towarów pruskich dopiero wtedy będzie racyonalną i zupełną, gdy się powoła do życia cały szereg towarzystw współdzielczych, gospodarczych i wytwórczych, poleciła Komisya przemysłowa Towarzystwa Muzeum przemysłowego w Rzeszowie w roku zeszłym pp. Stanisławowi Bartynowskiemu, Józefowi Szaynokowi i Ludwikowi Bieńkowskiemu utworzyć Stowarzyszenie wytwórcze zabawek.

Wezwani wzięli się do działania, ułożyli statut i powołali do życia S t o w a r z y s z e n i e w y t w ó r c z e „W ł a s n ą p r a c ą", liczące już w dniu 31. grudnia 1908 roku 67 członków. Dyrekcya rozwinęła energiczną działalność w dwu kierunkach: wytknięcia kierunku rozwoju Stowarzyszenia i dania podstaw administracyjnych przez wytwarzanie zabawek drewnianych i mundurków studenckich i ustalenie książkowania i administracyi. Do wyrobu zabawek powołano siły, dotąd u nas niewyzyskiwane, a to młodzież uczącą się i terminatorów. Liczba powyższej młodzieży rozwija się stale i tak: w sierpniu 1908 pracowało 8, we wrześniu 17, w październiku 19, w listopadzie 24, w grudniu 29. Ponadto oddawano wykonanie zabawek miejscowym rzemieślnikom. Do wyrobu mundurków używano miejscowych krawców.

Jako skutek dobrej pracy Dyrekcyi można zaliczyć otrzymanie „srebrnego medalu" na wystawie w roku 1908 w Jarosławiu, oraz niżej podane cyfry:

Udziałów wpłacono ogółem K 798·51, deklarowano K 1.247·42. Obrót kasowy przedstawia się w przychodzie K 2.023·85, w rozchodzie K 2.018·28, ogółem K 4.042·13. Koszta produkcyi zabawek wynosiły K 1.146·91, mundurków K 1.432·18. Pomimo więc ogromnie małego kapitału udziałowego spłaconego, oraz dość wielkich kosztów założenia Stowarzyszenia, z powodu sprzedaży gotówkowej, w wyjątkowych wypadkach ratalnej, potrafiła Dyrekcya kapitał obrotowy powiększyć bez zaciągnięcia pożyczki, co jest dowodem, że Stowarzyszenie jest oparte na zdrowych podstawach i posiada wszelkie warunki rozwoju.

F a b r y k a z e s z y t ó w s z k o l n y c h została założoną w Krakowie. *Głos nauczycielstwa ludowego* takie o niej podaje szczegóły: Skutkiem różnych zawodów w dostawach zasadniczych, fabryka nie będzie na razie w stanie dostarczyć na drugie półrocze zaraz z początku zapotrzebowań na prowincyę, lecz tylko dla samego Krakowa. Koledzy krakowscy będą mogli z tej fabryki zakupna czynić. Zeszyty będą wychodziły z fabryki zrobione według wszelkich przepisów i odznaczać się będą taniością. Firma tej fabryki jest następująca: Antoni Procner i Ska, fabryka zeszytów i przyborów szkolnych dla Związku nauczycielskiego. Każdy zeszyt na okładce opatrzony będzie znakiem naszego Związku. Dalsze informacye o tem ważnem przedsiębiorstwie oraz cennik przyborów podamy w następnym numerze. Lokal fabryki jest przy ul. św. Marka 27.

Papier z marką ochronną „P o d k o w a" j e s t w y r o b e m n i e m i e c k i e j f a b r y k i E. N i e s n e r a w P r a d z e. Fabrykę tę zastępuje krakowska f i r m a „Z u c k e r & L a n d a u, ul. D i e t l o w s k a. Na Galicyę wypuszczają ci Panowie ten sam papier, lecz obok marki „Podkowa" napisy są polskie, a na opakowaniu zaznaczają że to wyrób krajowy.

Ponieważ Zucker & Landau otrzymali od Ligi Pomocy Przemysłowej pozwolenie na zaopatrywanie zeszytów, które rzeczywiście w Krakowie są wyrabiane, w markę Ligi Pomocy Przemysłowej, pozwolenie to rozszerzyli oni także i na papiery listowe i wprowadzają w błąd publiczność żądającą wyrobów krajowych.

O r g a n i z a c y a b o j k o t o w a. Na pełnem posiedz. członków Organizacyi bojkotowej we Lwowie z 15. bm. tego wybrano do zarządu Organizacyi pp. dra Ludwika Rydygiera na prezesa, dra Józefa Milewskiego, Leona Krobickiego i Ks. Wandę Czartoryską na zastępców prezesa, dra Lucyana Szpora na sekretarza, Artura Harnwolfa na zastępcę sekretarza i Wiktora Sedlaczka na skarbnika.

N a w i ą z a n i e s t o s u n k ó w h a n d l. z A m e r y k ą. Towarzystwo kupców polskich w Detroit zgłosiło się do „Ligi pomocy przemysłowej" z chęcią nawiązania stosunków handlowych z Galicyą. W szczególności zaś pragnęłoby to towarzystwo ułatwić sprowadzanie z Galicyi płótna, skóry niewyprawionej i chmielu, który wobec 20 miejscowych browarów znajdzie znaczny zbyt.

Panowie fabrykanci, którzy chcieliby skorzystać z tej sposobności, doznają silnego poparcia ze strony „Towarzystwa kupców polskich" w Detroit, do którego należy się zwracać z ofertami itp. — adresując: „W. Maior Correspondent Polish Merchants Society Detroit — Mich (U. S. N. A.) 716 Russell street".

Zarząd główny „Straży Polskiej" pragnąc wykonać rezolucyę styczniowego wiecu krakowskiego, dążącą do usunięcia importu węgla pruskiego do Galicyi i zastąpienia go węglem krajowym, udał się, stosownie do wskazówek w tej rezolucyi zawartych, do Towarzystwa górniczego w Krakowie, prosząc o wykaz firm polecenia godnych. Na to otrzymaliśmy z dyrekcyi akcyjnych zakładów górniczych w Sierszy list następujący:

„W posiadaniu wielce Szan. pisma z 16. b. m. skierowanego do Towarzystwa górniczego w Krakowie mamy zaszczyt oznajmić, iż s p r o w a d z a n y o b e c n i e m a s o w o d o n a s z e g o k r a j u w ę g i e l p r u s k i (w r. 1906 około 140.000 wagonów, w latach 1907 i 1908 znacznie więcej) da się w zupełności zastąpić węglem kamiennym, wydobywanym w krajowych kopalniach Zagłębia krakowskiego.

„Jako takie polecamy w pierwszej linii kopalnie „Artur" w Sierszy i „Krystyna" w Tenczynku, należące do tutejszych Zakładów sfinansowanych kapitałem wyłącznie krajowym, gdyż wszystkie akcye pozostają w rękach małoletnich spadkobierców śp. Andrzeja hr. Potockiego.

Węgiel z kopalni „Krystyna" w Tenczynku (stacya kol. Krzeszowice) posiada wartość opałową około 6500 kaloryi i jest bezsprzecznie węglem krajowym najlepszej jakości, nadającym się wybornie do celów przemysłowych; — węgiel z kopalni „Artur" w Sierszy posiada wartość opałową około 5600 kaloryi i zastępuje jak najlepiej węgiel pruski dla opału mieszkań, biur, kotłów i t. p.

Ceny są bez porównania niższe od cen węgli pruskich, a koszta przewozu koleją zostały o d m a r c a b. r. z n a c z n i e o b n i ż o n e zwłaszcza dla Galicyi wschodniej, tak że obecnie nabycie węgla krajowego w miejsce pruskiego przedstawia dla każdego nabywcy oszczędność poważną, dochodzącą do 30 a nawet i 40%.

Węgle z naszych kopalń nabywać można bądź to wprost w Dyrekcyi tutejszej bądź też u naszych głównych odbiorców, t. j. Jan Kwiatkowski w Krakowie ul. Zwierzyniecka L. 19, J. L. Bochner w Sierszy, H. Dattner we Lwowie ul. Grodecka L. 3, a jako też u Zarządu głównego Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika L. 11.

Gdyby Szanowny Zarząd pragnął dalszych informacyi, służyć będziemy niemi w każdej chwili z całą gotowością. Z wysokiem poważaniem

Dyrekcya gal. akc. Zakładów górniczych w Sierszy.

Rozmaitości.

Przyjaźń czesko-polska. Z powodu haniebnego postąpienia wydziału gminnego w Polskiej Ostrawie, obradował jak wiadomo (patrz Nr. 11. „Straży P.") wiec w Krakowie. W odpowiedzi na to urządzili czesi wiec w Pradze. W tej samej pięknej sali na Zofinie, gdzie w roku ubiegłym wyprawiano wprost orgie zbratania polsko-czeskiego podczas przybycia gości polskich z Królestwa Polskiego na wystawę praską, pozwalano teraz na rzucanie najwstrętniejszych oszczerstw na Polaków. Zgromadzeniu przewodniczył członek Izby panów, p. M a t t u s z, zastępcą przewodniczącego był dr. P i c h a. Z posłów pojawili się pp. K r e j c z i, A n i ż i P a p i r n i k. — Zgromadzenie zagaił profesor p. S t y p a, który odrazu sposobem swego przemówienia wniósł nastrój odpowiedni w salę. Zdaniem jego gmina Polskiej Ostrawy postąpiła słusznie i nie na naganę, ale na największe uznanie zasłużyła sobie. Polacy niesłusznie zarzucają Czechom hakatyzm, gdyż Czesi znajdują się tylko w defenzywie, stroną zaś atakującą są Polacy. Na Śląsk należy zapatrywać się ze stanowiska nie tylko słowiańskiego, ale także i to przedewszystkiem w s z e c h c z e s k i e g o. Na ten moment zwrócił też uwagę przewodniczący p. M a t t u s z, który Śląsk nazwał mostem między krajami czeskimi a Galicyą.

Z kolei nastąpiły zapowiedziane referaty delegatów czeskich ze Śląska.

Pierwszy wystąpił notaryusz z Polskiej Ostrawy, dr. Pelc. Przedstawił on straszny ucisk,(!!) pod jakim Czesi na Śląsku jęczą. Uciskają ich Niemcy i Polacy, uciska rząd, władze kościelne, autonomiczne, uciska kapitał niemiecki.

Fałszem zaś jest, by Czesi uciskali kogo. Czech i gwałt, to coś wykluczające się! — zawołał mówca z patosem i nie roześmiał się. Praga nie zna Śląska, a szkoda, bo kraj to bogaty i w ciągłym rozkwicie, gdzie długo, długo jeszcze można się będzie czemś pożywić. Konkurentów tylko do bogato zastawionego stołu nieco za wielu. Tu próbował mówca zebranym rzecz popularnie wyjaśnić i mówił: „Wyobraźcie sobie, gdyby między was i Niemców tu w Czechach wmieszał się jeszcze jeden obcy żywioł, któryby z początku siedział cicho, z czasem zaczął się jednak zbyt żywo poruszać i groził nawet połączeniem się z waszym wrogiem. Cóżbyście zrobili z nim? Otóż tak jest u nas na Śląsku, a żywiołem tym są Polacy!" Mimo to mówca pragnie „miru polsko-czeskeho" na Śląsku.

Po tych, jeszcze skromnych i umiarkowanych, wywodach dra Pelca wystąpił na mównicę sekretarz czeski na Śląsku p. B r z e s k y. Jako człowiek młody, oderwany dopiero od książek, rozpoczął od wywodów „naukowo"-historycznych, przy pomocy których wywiódł jak na dłoni, że Śląsk to kraj pra-czeski. I to uznał jako zasadniczy punkt walki polsko-czeskiej na Śląsku, ponieważ Polacy przyłączyć chcą Śląsk do Galicyi, nie chcąc uznać tego, że Śląsk zamieszkuje ludność wyłącznie czeska. Niestety jednak ludność ta w części już spolonizowała się, pracowali w tym kierunku polscy księża i nauczyciele, którzy zamieniali szkoły czeskie na polskie. Fałszowano nadto spisy ludności, i tak ludność czeska ciągle umniejszano. A strata stąd — z naciskiem zaznacza to mówca — nie tylko dla Czechów, ale i dla całej Słowiańszczyzny. W r a z b o w i e m z p o l o n i z a c y ą p o s t ę p u j e g e r m a n i z a c y a. Czesi pracują więc dla dobra Słowiańszczyzny, zagarniając gminy polskie. Największymi wrogami Czechów są: Wilczkowie, Guttmannowie, Larischowie i Rothschildowie, a Polacy przeszkadzają ich zwalczać. — Z wywodów p. Brzeskiego wypływała konkluzya: p o n i e w a ż P o l a c y n a Ś l ą s k u p r a c u j ą t y l k o n a r z e c z g e r m a n i z a c y i, z e w z g l ę d u n a d o b r o S ł o w i a ń s z c z y z n y p o w i n n i i c h z a g a r n ą ć i s t r a w i ć C z e s i, którzy naturalnie dla tak wzniosłej idei gotowi są zdecydować się na to poświęcenie. — P. Brzesky także nie sformułował swego ostatecznego wniosku, tylko także zakończył okrzykiem „n a z d a r" na rzecz m i r u p o l s k o - c z e s k i e g o na Śląsku.

Najjaśniej, najbardziej bez ogródek określił stanowisko czeskie mówca następny, p. S v o s i l redaktor berneńskich *Lidorych Norin*, mieszkający w Morawskiej Ostrawie. Mówca przedstawił p r o j e k t p o w o l n e g o w y w ł a s z c z a n i a P o l a k ó w n a Ś l ą s k u. Kraj tam bogaty, koniecznie więc powinny się ściągać kapitały czeskie na to niepewne pogranicze polsko-czeskie. Obecnie n. p. czynią się na Śląsku przygotowania do budowy kolei Cieszyn-Świniów, niech więc zaraz teraz wejdą w interes ten Czesi z akcyami swemi. Kapitały czeskie — zdaniem mówcy — zadecydują o czeskości Śląska, bo polskość tam wszędzie słaba i sztuczna, wszędzie zaś, gdzie jest, jest przednią strażą germanizmu. Widzą to Niemcy i dlatego na Śląsku popierają Polaków na każdym kroku. Na dowód, że Polacy ciążą ku niemczyźnie, przytacza, że szkoła polska w Porębie wydaje niemieckie świadectwa szkolne,

że dr. Seidl i ks. Niemiec z Rychwałdu rozmawiają zawsze po niemiecku, ze p. Reger, przywódca socyalistów polskich, powiedział na zgromadzeniu w Michałkowicach, że Polacy mają prawo do germanizowania się. Polacy walczą z Czechami o szkoły w czeskich (?) gminach, pozostawiają zaś w spokoju miasta i miasteczka, gdzie panują Niemcy. Z takim samym naporem muszą się więc też Czesi zwrócić przeciw Polakom i zakładać szkoły czeskie w powiecie bielskim, w Cieszynie, Trzyńcu, aż po Jabłonków.

Takim więc był przebieg „informacyjnego“ zgromadzenia czeskiego w Pradze! Nikt nie znalazł się w sali wśród zgromadzonych Czechów, któryby powstał i zaprotestował przeciw temu sposobowi zwalczania przeciwnika. Zlata Praha, która tak lubuje się w uroczystościach wszechsłowiańskich, pozwoliła na to niekulturalne i nieludzkie skrępowanie ust będących w sali Polaków, którzy zmuszeni byli wysłuchać tyle hańbiących, pod ich adresem wystosowanych zarzutów a nie byli w możności oczyścić się przed forum, przed którem w takiem świetle ich przedstawiono. (*Streszczenie z Dziennika Cieszyńskiego*).

Żydzi i niemczyzna w Galicyi. *Słowo Polskie* donosi, że Słobódkę Leśną, w pobliżu Kołomyi, nabyło swego czasu żydowskie Towarzystwo filantropijne w Paryżu „*Jewish colonisation association*“ — w celu utworzenia tam żydowskiej szkoły rolniczej. Urządzono wspaniałe gospodarstwo, wzorową gorzelnię, wybudowano internat, wspaniały pałacyk i otworzono szkołę z odpowiednią liczbą nauczycieli. Nie poddano jednak tej szkoły żadnemu nadzorowi władzy krajowej. Uczniów przebywa w zakładzie corocznie około 150. Planu naukowego dotychczas nikt nie znał. W ostatnim dopiero czasie zwrócono na zakład ten uwagę, przyczem okazało się, że uczniów żydowskich szkoły rolniczej wychowuje się w duchu na wskróś wrogim polskości. Nauka języka niemieckiego w szkole tej jest obowiązkową, instrukcye etc. zredagowane są jedynie w języku niemieckim. Dzieje się to zwłaszcza od czasu, gdy dyrektorem szkoły mianowano frankfurckiego hakatystę Auerbacha.

Akademicy hakatyści. W Berlinie utworzyła się przed niedawnym czasem akademicka grupa „ostmarkenvereinu“, która pierwsze swe zebranie agitacyjne urządziła w środę zeszłego tygodnia. W zebraniu brało udział, jak czytamy w poznańskim *Tageblacie*, przeszło 300 studentów. Jako mówcy wystąpili znany wódz hakatystyczny radca sprawiedliwości Wagner i niejakiś Sokobielski (!), inspektor szkolny w Berlinie, którzy przemawiali na takie tematy, jak „Polskie niebezpieczeństwo“, „Działalność niemieckiego ostmarkenvereinu“, „Niebezpieczeństwo dla wschodnich dzielnic Prus“ itp.

O język polski na nagrobkach. Na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej w Herne toczyły się, jak pisze *Wiarus Polski*, ożywione obrady nad projektem magistratu, by zakazał napisów na nagrobkach w niemieckim języku. Centrowcy żądali pierwotnie, by na nagrobkach wolno było rodzinie zmarłego użyć języka, jaki jej się podoba, porozumieli się jednak z liberałami i przeprowadzili razem uchwałę kompromisową, według której na nagrobkach obok polskiego należy położyć napis niemiecki.

Patryotyzm żydów. W ostatnich czasach — donosi Tygodnik, organ krakowski stronnictwa niezawisłych żydów — zaczyna się budzić wśród żydów ruch, który zyskuje coraz więcej zwolenników głównie w kołach inteligencyi. Tak np. studenci żydowscy postawili sobie za główne zadanie rozszerzanie nauki języka krajowego wśród swoich współwyznawców, dzieci żydowskie uczą go całkiem bezpłatnie. Syoniści nie mogą rozwinąć propagandy, w ostatnim czasie nawet zdarzyło się, że wykluczono ze stowarzyszenia żydowskiego dwóch niemieckich syonistów, którzy chcieli rozwinąć jakąś agitacyę. — Dla objaśnienia dodać należy, że mowa tu o Konstantynopolu, o żydach tureckich i o języku tureckim.

Wycieczki akademików. Akademicki klub turystyczny we Lwowie ogłasza w dziennikach szereg projektowanych w tym roku wycieczek. W kwietniu będzie wycieczka do Wiednia, Rzymu, Florencyi itd. — w maju do Berlina, Kolonii, Paryża itd. — w czerwcu do Karpat węgierskich — w sierpniu do Tyrolu i Szwajcaryi, do Alp karynckich, Tryestu, Budapesztu i t. d., — we wrześniu do Kijowa i Krymu. Z ziem polskich klub turystów akademików uwzględni tylko Tatry i Beskidy. O Warszawie, Wilnie, Poznaniu niema żadnej wzmianki, bo i rzeczywiście co tam zobaczyć można? co tam może być dla nas interesującego? Choć kto wie czy czasami turyści akademiccy nie zawadzą o Poznań, jeżeli im nie wypadnie bardzo z „drogi“, kiedy jechać będą... do Berlina.

Na jednym z żeńskich pensyonatów krakowskich rozdawano kolorowe kartki z wierszykami tej treści:

Dem Fleisse!
Wer mürrisch ist, wenn er lernen soll,
Dem wird das Köpfchen niemals voll;
D'rum frisch daran, mit frohem Sinn,
Es bringt für's Leben dir Gewinn.

Belohnung für Kirchenbesuch.
Dem Kind, das gerne beten mag,
Dem geht's auch immer gut,
Gott selber nimmt's bei Tag und Nacht
In treue Vaterhut!

Zarząd główny „Straży Polskiej“, otrzymawszy wiadomość o rozdawaniu takich kartek udał się do właścicielki pensyonatu z zapytaniem co znaczy ta propaganda niemczyzny? Właścicielka odpowiedziała, że prawdopodobnie musiała te kartki rozdawać nauczycielka języka niemieckiego i że to już się więcej nie powtórzy.

Patryotyzm urzędników czeskich. W ubiegłym tygodniu odbył się w Pradze w wielkiej sali, na Zofinie, imponujący wiec urzędników czeskich, w liczbie przeszło półtora tysiąca uczestników.

Wiec zwołano w sprawie porozumienia się co do postępowania całej armii urzędniczej wobec kwestyi językowej i napiętych obecnych stosunków politycznych w Czechach. Aby uzyskać zgodną, konsekwentną i wytrwałą akcyę, koniecznem jest wprzód zorganizować się i to było myślą przewodnią przemówień i referatów wszystkich mowców na wiecu. Stawili się na nim najwybitniejsi działacze polityczno-społeczni i narodowi, począwszy od przedstawicieli parlamentu, miast gmin i t. d., jak prof. Masaryk, dr. Baxa, inż. Neuman, dr. Grosz, a skończywszy na całych legionach drobnych działaczy praskich i z prowincyi. Referaty, omawiające położenie czeskiego urzędnika, stosunek jego do władzy i o języku na pocztach, przyjęto burzą oklasków, poczem prof. Masaryk roztrząsał szczegółowo kwestyę organizacyi urzędników.

Kładzie on nacisk na przebudzenie się urzędnictwa czeskiego, jako bardzo pocieszający objaw życia narodowego. Od dziś urzędnik czeski powinien przestać być ciasnogłowem tylko narzędziem, prostym automatem, ale ma przeobrazić się w świadomego siebie, wolnego obywatela. Wystąpienie czeskiego urzędnictwa w obronie praw własnego języka, ma dziś szczególne znaczenie, ponieważ w urzędach zagnieżdża się coraz bardziej anarchia z góry, z ministeryów i rządzących środowisk krajowych. Stąd więc walka o prawa językowe bez współdziałania czeskich urzędników pomyślnie zakończyćby się nie mogła. Spór o język urzędowy nie jest sporem tylko o czeskie litery i słowa, ale zarazem walką gospodarczą i społeczną. W interesie wszystkich warstw narodu leży obrona praw językowych, bez względu, gdzie o nie chodzi: a tem bardziej w urzędach takich, jak poczta, telegraf, kolej i inne komunikacyjno-gospodarcze instytucye, które taką rozległą odgrywają rolę w życiu społecznem.

Ze zmianami językowemi w urzędach łączy się i reforma administracyi, tak bezmyślnie i ślepo zawisłej od niezrównanego biurokratyzmu wiedeńskiego, zapatrzonego w niedoścignione wzory... berlińskie. Jedyne wyjście z tego błędnego koła w utworzeniu silnej, bezwzględnie wszystkich urzędników obejmującej organizacyi, któraby, dążąc ku potrzebnym reformom, jednocześnie zapewniała obronę praw swym członkom, nawet najśmielszym.

„Nie wierzę — powiada Masaryk — w idealizm, który nie kończy się w sposób praktyczny! Pamiętajcie o tem, że niezawodnie przyjdą jeszcze czasy gorsze, czasy prześladowań, a w takiej chwili trzeba koniecznie wielkiej, powszechnej organizacyi, któraby swoich bojowników, tych, którzy się odważyli wystąpić do walki, wspierała, a więc wszyscy za jednego — jeden, każdy za wszystkich!“

Plany bitw Kościuszkowskich. Mieliśmy sposobność oglądania bardzo interesującej pamiątki, posiadającej podwójną wartość: materyału do dziejów powstania 1794 r. i nieznanej pracy tak wybitnego artysty, jak Michał Stachowicz. Prawdziwy ten „malarz Kościuszkowski“, (komuż nieznane są jego obrazy „Przysięga Kościuszki“, „Sprowadzenie trofeów racławickich do Krakowa“), w pół roku po upadku powstania narysował *a vol d'oiseau* plany trzech bitw: Racławic, Szczekocin i Maciejowic, oraz trzech „obron“, Krakowa, Warszawy i Pragi. Wszystkie te plany wykonał piórkiem w wielkości 24×40 ctm., a następnie je pokolorował. Opierał się oczywiście na współczesnych materyałach, szkicach i opowiadaniach. Porównywając te plany z planami dodanymi do dzieła Korzona, znajdziemy pewne różnice, ale niezbyt wielkie. Niesłychanie dokładny jest plan oblężenia Warszawy, dobrze zaznaczona bitwa racławicka, nadzwyczaj interesującym jest widok Krakowa w chwili zajęcia go przez Prusaków. Artysta objaśnia położenie wojsk nietylko na boku planów, ale na samych planach umieścił objaśniające napisy.

Plany te, własność archiwum hr. Tarnowskich w Dzikowie, są dolepione do oryginału pamiętników Lichockiego, na którego żądanie zapewne wykonane zostały. Lichocki bowiem postanowił „całą tę epokę opisać jak najrzetelniej“, a w rękopisie swym wciąż się powołuje na dołączone dodatki. Wydawca pamiętników Lichockiego nie wspomniał ani słowem, gdzie się znajduje oryginał, co do planów zaś poprzestał na krótkiej wzmiance. Nikt więc nie wiedział, gdzie są pamiętniki, nikt planów nie oglądał, nikt z nich nie korzystał. Dopiero Dr. Chmiel w krótkim katalogu archiwum hr. Tarnowskich zanotował, że w rękopisie, obejmującym materyały do r. 1794, znajdują się plany batalii Kościuszkowskich. Dzięki tej wzmiance, p. Kazimierz Bartoszewicz, pracujący nad obszerną monografią powstania 1794 r., udał się do Dzikowa i całkiem niespodziewanie natrafił na oryginał pamiętników Lichockiego. W pamiętnikach tych znajduje się świetnie wykonany przez Stachowicza portrecik pamiętnikarza i pierwszy szkic akwarelowy Przysięgi Kościuszki. Do rękopisu dołączone są druki insurekcyjne, wiersz „Ad Polonos“, znana piosenka „Dalej chłopcy, dalej żywo“ itd., co w znacznej części zużytkował wydawca pamiętników Lichockiego, nie przyznając się, z jakiego czerpał źródła.

Plany bitw ukażą się niezadługo w dokładnej reprodukcyi przy monografii p. Bartoszewicza, na co właściciel ich, hr. Zdzisław Tarnowski, uprzejmie udzielił pozwolenia. (*Czas*)

KĄCIK JĘZYKOWY.

Zaprzysiągł świadków sędzia powiatowy. Straszna rzecz! Czyż to się godziło? Zapewne ukarała go za to władza zwierzchnicza. Ktoś jadł, aż się zajadł: ktoś pił, aż się zapił; kogoś bito, aż go zabito. Sędzia tak zniewolił świadka do przysięgania, aż go biedaka zaprzysiągł. Ej, może to sędzia „odebrał przysięgę“ od świadka? Zapewne, że tak być musiało.

Przy wojsku, przy piechocie, przy starostwie i t. d. Przy wojsku jest tylko kucyk, co wozi duży bęben kapeli, ale żołnierz jest w wojsku, komisarz w starostwie.

Wolne miejsce, chyba — nie zajęte.

Wolny bilet. Zapewne — bezpłatny.

Wprowadzić w życie. Polak nie zdolny zrozumieć takiej zawiłości myślenia i mówi: wykonać.

To prowadzi do złego. Prowadzi rolnik krowę na targ, prowadzi ojciec dziecko do szkoły, myśliwy prowadzi psa na smyczy, bo ani rolnik krowy, ani ojciec dziecka, ani myśliwy psa nie pytają o to, czy chcą, czy nie chcą iść i dokąd chcą się udać. Ale w Tatrach nie ma przeprowadników, jeno przewodnicy, w pacierzu powtarzamy: nie wódź nas na pokuszenie, a nie „prowadź“, bo to sprawa z wolą naszą. Dlatego też „to wiedzie do złego“, „to wiedzie do celu“, a nie: prowadzi. *Cz. P.*

W pierwszym rzędzie. Mniej więcej od lat dziesiątka pojawiać się zaczęło naprzód w pismach codziennych wyrażenie obce „w pierwszym rzędzie“ albo „w pierwszej linii“, zamiast swojskich: przedewszystkim, nasamprzód, głównie. Germanizm ten, szczególnie powtarzany w prasie peryodycznej, jest w polszczyźnie wyrażeniem sztucznem, często przedstawiającem myśl piszącego niejasno, a nieraz nawet wprost komicznie. Tak np. jeżeli się czyta: „Minister w pierwszym rzędzie będzie się musiał oczywiście zwrócić do Czechów“, to czytelnik pozostaje w niepewności: czy to ów minister ze swego fotelu, ustawionego w pierwszym rzędzie ma przemawiać do Czechów, czy też może Czesi, zasiadłszy na zebraniu w pierwszym rzędzie krzeseł, słuchać go będą. Tymczasem zaciemnienia tego uniknąć łatwo, jeżeli zamiast wyrażenia „w pierwszym rzędzie“ użyjemy przysłówka przedewszystkim, lub nasamprzód, z których każdy oddaje rzecz dobitnie i jasno. Podobnie też w zdaniu „Angielscy filozofowie zwrócili umysł jego (Spinozy) w pierwszym rzędzie ku praktycznym zagadnieniom życia“, zgoła niepotrzebnie dano pierwszeństwo germanizmowi zamiast wyrazowi polskiemu: przedewszystkim, lub głównie.

Nie lepiej rzecz się ma i z „pierwszą linią“. Oto czytamy: „na konferencyi słowiańskiej w pierwszej linii mówiono o wielkiej wartości pokoju i o zbra-

taniu się Słowian": albo też: „wypuściliśmy z rąk naszych... bezpośredni czynnik uprzemysłowienia kraju (tereny węglonośne), który odtąd w pierwszej linii będzie służył interesom niemieckim, a nie naszym" (zamiast: przedewszystkiem). Niech jednak cierpliwy czytelnik nie myśli, że to naśladownictwo niemczyzny kończy się na „pierwszej linii". Inni bowiem pisarze rozwijają tę mniemaną ozdobność wysłowienia i do „drugiej linii", a nawet posuwają się z nią aż do „ostatniej linii". Jakoż czytamy np. „Usunięcie Fezida baszy nastąpiło w dwa dni po nadaniu mu przez cesarza Wilhelma orderu czarnego orła (miało być: orła czarnego) i przedstawiają to w pierwszej linii jako klęskę niemiecką, a w drugiej linii jako klęskę trójprzymierza w Konstantynopolu". (W pierwszym razie należało użyć wyrazu „przedewszystkiem", a w drugim — „a powtóre" albo „prócz tego...").

Do humorystyki już raczej należą wyrażenia podobne jak oto: „wszelkie ekonomiczne ulgi udzielane bywają przedewszystkim rzędzie Niemcom".

J. K. Kryński *w Słowie Polskiem.*

Kronika „Straży Polskiej".

Z powodu ustąpienia p. Władysława Gachiewicza z prezesury II. krakowskiego Koła „Straży Polskiej" odbyło się dnia 28. marca Walne zebranie członków tego Koła, które powołało na stanowisko prezesa p. Romualda Niedźwiedzkiego.

Zorganizowane w Kętach Koło „Straży Polskiej" wybrało swym prezesem p. Tadeusza Łobaczewskiego, radcę sądu krajowego, p. Eustachego Sokalskiego, właściciela apteki, zastępcą prezesa, p. Bolesława Łuszczyńskiego, profesora seminaryum nauczycielskiego, sekretarzem, p. Teresę Lankoszównę, zastępcą sekretarza, dra Władysława Dziewińskiego, dra medycyny, skarbnikiem i p. Helenę Krzysztoforską nauczycielkę, zastępcą skarbnika. Do wydziału weszli pp. Ignacy Slebodziński, em. sędzia powiatowy, i Alojzy Witkowski, naczelnik poczty.

W Rybnej prezesem Koła miejscowego „Straży Polskiej" wybrano p. Stanisława Sędere, kierownika szkoły; a jego zastępcą ks. Szeląga, wikarego i katechetę. Sekretarzem została p. Helena Ligęzianka, zastępczynią jej p. Anna Balicka; obowiązki skarbnika objął p. Szymon Romanowski, jego zastępcy p. Andrzej Galos. Do wydziału weszli pp. Jarosz, Antoni Stachowski, Fortuna, Malik, Rumian, i Słomak, gospodarze miejscowi. Do komisyi kontrolującej wybrano pp. Konopiankę, Olszanecką i Macieja Stachowskiego.

Do N. Reformy donoszą z Sambora: Pani Marya T. Błotnicka, sekretarka Towarzystwa „Straż Polska" w Krakowie, wygłosiła tutaj we czwartek 25. b. m publiczny wykład o tem nowem, a tak dzielnie się rozwijającem Towarzystwie. Wykład ten zapoznał tutejszych mieszkańców z organizacyą, zadaniami i działalnością „Straży Polskiej" i jeżeli nie miał skutku doraźnego pod tym względem, że nie zawiązało się w mieście naszem bezzwłocznie Koło miejscowe tego stowarzyszenia, to w każdym razie przygotował dla niego grunt i pobudził obywatelstwo tutejsze do zainteresowania się żywszego celami „Straży", dla których częściowo i w innych, istniejących już dawniej Towarzystwach, pracowało ono może, byle je wspierała gorliwa chęć i wytrwałość w poważnych tych zadaniach. Po odczycie rozwinęła się szeroka dyskusya.

Na poruszone przez mówców uwagi dawała prelegentka wyczerpujące wyjaśnienia i odpowiedzi, poczem zebranie podziękowało jej za piękny i pouczający wykład żywym aplauzem.

O „Straży Polskiej". Odczyt pod takim tytułem wygłosiła w Kole pań T. S. L. we Lwowie dyrektorowa Błotnicka. Prelegentka w pięknych słowach skreśliła chwilę powstania tej instytucyi, następnie omówiła szczegółowo działalność dotychczasową „Straży Polskiej" i doniosłość jej propagandy. Kiedy w społeczeństwie polskiem odezwało się hasło bojkotu towarów pruskich, zadanie pośredniczenia między kupcami a publicznością wzięła na siebie „Straż Polska". Po zebraniu materyałów wśród kupiectwa za pośrednictwem licznych kwestyonaryuszy przystąpiła „Straż Polska" natychmiast do akcyi, wzywając do bezwzględnego bojkotu towarów pruskich, które dadzą się zastąpić naszymi, wpływając w tym kierunku na agentów, kupców, oraz na publiczność. Te zadania spełnia sekcya ekonomiczna „Straży", która weszła już w porozumienie ze wszystkiemi stowarzyszeniami o pokrewnych celach i Izbami rękodzielniczemi dla tem skuteczniejszego działania. Z kolei szanowna prelegentka omówiła zakres działania sekcyi językowo-prasowej, wiecowo-odczytowej, wycieczkowej i sekcyi spraw emigracyjnych i wychodztwa. Dłuższy ustęp swego odczytu poświęciła p. Błotnicka organowi „Straży", w której najwybitniejsi publicyści i ekonomiści umieszczają swe artykuły. Odczyt, nagrodzony oklaskami, zakończyła prelegentka gorącem wezwaniem do obecnych pań, aby w swem gronie propagowały ideę „Straży Polskiej" w Krakowie i jednały jej członków.

Słowo Polskie.

Przed kilku dniami opuścił Kraków p. inżynier Ignacy Drewnowski, członek Zarządu głównego. Pan Drewnowski przez kilka miesięcy pełnił trudne obowiązki naczelnika biura „Straży Polskiej". Na tem honorowem stanowisku okazał niezwykle wiele dobrej woli, ogromny zasób zapału dla zadań „Straży" i szczerą gorliwość, niecofającą się przed poświęceniem czasu i trudów dla dobra sprawy. To też Zarząd główny uchwalił przesłać mu serdeczne pisemne podziękowanie z podpisami wszystkich członków Zarządu, wraz z życzeniami, aby obywatelska jego praca przynosiła dalej korzyści społeczeństwu i znalazła dla siebie podatne pole we Lwowie, gdzie na stałe osiąść zamierzył.

26. marca odbył się w Rybnej (pow. krakowski) wiec „Straży Polskiej".

Zagaił go prezes miejscowego „Koła" p. Stanisław Sędera, którego następnie wybrano przewodniczącym wiecu. Obowiązki sekretarzy pełnili: p. Balicka i p. Romanowski.

Pierwszym mówcą był prof. Michał Magiera. Nawiązując przemowę do powstania kościuszkowskiego i przysięgi, złożonej na rynku krakowskim, której rocznicę właśnie obchodzimy, dał w krótkości obraz niedoli Polaków pod zaborem pruskim, kładąc główny nacisk na wywłaszczenie chłopów. Dalej, omówiwszy najważniejsze zadania „Straży Polskiej", mówca zachęcał lud w gorących słowach do wspólnej pracy.

Podczas przemówienia prof. Magiery u niejednego z obecnych włościan widać było łzy w oczach.

Z kolei przemówił p. Janusz Dymek, podając charakterystykę kreśląc postaci Kościuszki i Bartosza Głowackiego.

W dyskusyi głos zabierali przeważnie właściciele sklepików, gospodarze i inteligencya.

Wiec zakończono pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła".

Bardzo sympatycznie przedstawia się założona przez Koło „Straży Polskiej" czytelnia w Rybnej. — W każdą niedzielę gospodarze, nauczycielstwo i ks. wikary schodzą się w niej i spędzają przyjemnie czas na czytaniu pism oraz pogadankach. Za miesiąc odbędzie się przedstawienie „Kościuszki pod Racławicami", wykonane wspólnemi siłami „Straży" i ogniska nauczycielskiego.

Wobec nadchodzących zapytań, czy i kiedy „Straż Polska" urządzi drugą wycieczkę zbiorową do Warszawy, zawiadamiamy, że mamy zamiar urządzić dwie wycieczki: jedną z końcem maja, drugą z końcem czerwca. Przedewszystkiem jednak musimy wiedzieć, czy znajdzie się odpowiednia liczba uczestników i z tego powodu prosimy, aby pragnący wziąć udział w wycieczkach zawiadomili nas o tem jak najprędzej i oznaczyli, do której z dwu wycieczek chcieliby się przyłączyć.

Wszystkim zgłaszającym się roześle biuro „Straży Polskiej" program szczegółowy z dokładnem podaniem terminu i warunków.

Koszta jazdy III. klasą z Krakowa do Warszawy i z powrotem, z mieszkaniem w pierwszorzędnym hotelu (6 noclegów), z obiadami wspólnymi i wycieczką do Wilanowa, wynosić będą koło 80 koron. Pragnący jechać klasą II. zapłacą o 15 koron więcej.

Kto będzie chciał dłużej zatrzymać się w Warszawie, ten otrzyma zwrot kosztu biletu kolejowego z Warszawy do Krakowa.

Każdy z uczestników będzie mógł w powrocie zatrzymać się dzień jeden w Częstochowie, nie dopłacając do biletu kolejowego.

Komitet będzie się starał ułatwić zwiedzanie pamiątek i rzeczy godnych widzenia, o ile możności — bezpłatnie.

Wydatki na śniadania, kolacye, dorożki, teatr itd. uczestnicy będą ponosić sami — komitet tylko postara się, aby to wszystko nie drogo kosztowało.

Wydatki te dla pragnących odbyć wycieczkę oszczędnie nie powinny przenieść 40 koron na osobę.

Ponieważ Zarząd główny „Straży Polskiej" ma na myśli i wycieczkę do Wilna, prosimy przeto, aby zgłaszający się oświadczyli, czy pragną przyłączyć się i do wycieczki wileńskiej, która wyruszyłaby po zwiedzeniu Warszawy.

Dnia 4. kwietnia odbyło się w sali „Sokoła" w Podgórzu Walne Zgromadzenie członków Koła Tow. „Straży Polskiej" w Podgórzu.

Po zagajeniu Zebrania przez posła Fr. Maryewskiego, burmistrza miasta Podgórza, przystąpiono do wyboru Zarządu z następującym wynikiem: Przewodniczący p. Józef Stępień, zastępca p. Kazimierz Jodłowski, sekretarz p. W. Wojdyło, zastępca p. Czesław Albin. Do wydziału wybrani pp. X. Józef Tomasik, Tadeusz Rojek, Michał Kurek, Antoni Bierczyński, Kazimierz Zieliński, Józef Szczygieł; do komisyi kontrolującej pp. Karol Broner, Ludwik Muchowicz, Szymon Droszcz, delegatem na Walne Zgromadzenie głównego Zarządu p. Fr. Maryewski.

Na fundusz bojkotowy nadesłał pan M. Chyżewski 50 K.

Pan Górniak z Oświęcimia złożył 2 K na fundusz prasowy „Straży Polskiej", z życzeniem, aby jego przykład zachęcił innych i dozwolił Zarządowi głównemu przemienić miesięcznik „Straż Polska" na dwutygodnik.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.